

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 45

1 maja, 1943

Cena (Price) 1/-

WIELKA NOC

WIELKANOC 1943. Jakże dalecy jesteśmy od myśli o głowie prosiaka, rzezusze i wódce. Odpychamy myśli o bliskich, których tu nie ma i odpychamy słusznie, by się nie osłabiać. A jednak Wielkanoc jest dla każdego z nas, panuje nad naszymi myślami. Bo nie odpoczynek i zabawa, nawet nie ciepło ogniska rodzinnego jest istotą tego święta, ale afirmacja wiary w Zmartwychwstanie, w podporządkowanie ciała — duszy. Zmartwychwstanie nie jest piękną legendą, jest kamieniem węgielnym naszego poglądu na świat.

Sens życia polega na tym, że jest ono tylko próbą generalną do właściwego życia w doskonałym świecie, materialnym ale bez cierpień i przemijalności. "*Cuius regni non erit finis*".

Jest wojna. Na wojnie człowiek poświęca życie dla czegoś wyższego. Nawet ten, który nie wierzy w Chrystusa i mówi, że oddaje życie dla szczęścia przyszłych pokoleń, dla idei, dla sławy, z poczucia honoru, daje wyraz podświadomej wierze, że coś w nim jest trwalszego niż ciało, że nie wszystko kończy się z chwilą śmierci fizycznej, że więcej warto co pozostanie po nim, niż to co w nim jest w tej chwili.

W czasie wojny śmierć chodzi koło nas. Patrzyć w jej puste oczodoly może spokojnie tylko ten, kto poprzez nie widzi prawdziwe życie. Zmartwychwstanie to przezwyciężenie śmierci, sprowadzenie jej do właściwych rozmiarów. Cały stosunek do życia człowieka naszej cywilizacji opiera się na tym przekonaniu, że można, utraciwszy ciało a zachowując duszę, odzyskać je znów, natomiast nie można zatraciwszy duszę a zachowując ciało, odzyskać jej.

Nie tylko człowiek w to wierzy, wierzą w to całe narody i ta wiara jest racją bytu narodu nowoczesnego, dla którego państwo jest tylko ciałem. Naród może utracić państwo i odbudować je nawet w lepszych granicach i z lepszymi urządzeniami. To też bywają chwile, gdy naród poświęca na wojnie swe państwo, jak żołnierz poświęca swe ciało, woli klęskę, śmierć fizyczną niejako, nad upadek duchowy, a czyni to z wiarą w odbudowanie państwa w lepszej postaci. Taką decyzję powzięła Polska w r. 1939. Taką decyzję powzięła Serbia w 1941. Taką decyzję powzięła Anglia w 1940.

Decyzje takie nie przychodzą łatwo. Kosztem ich jest cierpienie najwyższej miary. Przed Zmartwychwstaniem była Męka. Była

jako konieczny warunek, nadający dopiero pełną treść Zmartwychwstaniu. Ale, mówiąc politycznym językiem, ten koszt się opłaca.

Polska leży między dwoma najsilniejszymi narodami europejskimi; leży w pozycji równorzędnej z nimi a siła ma znacznie mniej niż one. Musi tymi niedostatecznymi siłami prowadzić politykę na skalę światową. Stąd musi rzucać *wszystkie* swoje siły duchowe i fizyczne tam, gdzie inne mocarstwa rzucają tylko *część* sił. Musi je rzucać z impetem rozpacz. Gdyby tego nie robiła, przestałaby istnieć w ogóle, bo nie jest dostatecznie mała by nie zawadzać sąsiadom. To jest dramat Polski.

W r. 1939 rzuciliśmy na szalę wszystko. Spadły na nas ciosy wymierzone nie z siłą jaką się je zadaje mniejszemu przeciwnikowi, lecz z siłą z jaką mocarstwo uderza na głównego wroga. Państwo nasze poniosło jakby śmierć fizyczną, to znaczący terytorium i ludność poddane zostały obcej władzy. Ciosy wymierzono nie tylko w państwo, rozpoczęto fizyczne niszczenie narodu. Straty pod tym względem są już poważne, a będą do końca wojny znacznie większe. Nad naszym życiem narodowym rozciąga się **Wielka Noc**.

Poświęciliśmy niesłuchanie dużo. Ale trzeba wyraźnie to powiedzieć, żeby rozwiać opary niezdrowych i wynaturzonych myśli, pojawiających się tu i ówdzie, nie poświęciliśmy się dla honoru ani dla szczęścia innych, poświęciliśmy się przede wszystkim dla siebie samych. Daliśmy ogromnie wiele, by zyskać jeszcze więcej. Męka nasza musi się nam opłacić w głębokim tego słowa znaczeniu. Jest wkładem w przyszłość. Nasze zwycięstwo musi być na miarę naszej klęski, zdobycze na miarę strat.

Na naszym pokoleniu spoczywa odpowiedzialność niebywała, odpowiedzialność większa niż pokolenia r. 1914-20. Tamci mogli zmarnować sposobność odbudowania państwa, pozostawić naród w niewoli. My straciliśmy państwo i albo przez tę wojnę stworzymy Wielką Polskę, albo przekreślimy przyszłość narodu na długie wieki, pozwalając mu spaść tak nisko, jak nie był nigdy w dziewiętnastym wieku.

Polacy mają poczucie tego. Stąd ta nerwowość, chęć robienia czegoś, czegoś jeszcze, czegoś więcej, która dręczy i rozstraja każdego

uczciwego człowieka zarówno tam w Kraju, jak i na wygnaniu. Mało jednak ludzi zdaje sobie sprawę ze skali wydarzeń, wśród których żyją, większość zatracza świadomość wielkości stawki, o którą walczy ich naród. Sprowadzają wszystko do swoich małych mózdków, do swojej parszywej mikroskopijnej skali. Wyobraźnia odmawia im posłuszeństwa, płaczą się w dziecinnych anachronicznych haselkach, które miały jakiś sens przed Wrześniem, ale nie mają dziś żadnego. Sumienie żąda od nich wkładu w walkę, lecz oni umieją walczyć tylko szczypaniem i pluciem. Wyładują swoją aktywność w prowadzeniu walki klik na partykularzu.

Nam, ruchowi narodowemu, który ma poczucie odpowiedzialności historycznej, tego robić nie wolno. Musimy całość naszych sił kierować do walki rzeczywistej, a czasem walką rzeczywistą bardziej jest przygotowywanie wielkich wypraw niż strzelanie w powietrze dla ulżenia nerwom. Kierując cały wysiłek ku walce rzeczywistej, z góry przyjmujemy pozycję słabszą wobec tych, którzy swoją energię obracają na klucie rodaków. Musimy znieść to, że nas będą karły szczytać i kłuć, a my nie będziemy reagować idąc do walki fizycznej i umysłowej o Wielką Polskę. Tym którzy oczekują od nas cyrku drobnych rozgrywek, sprawimy pełne rozczarowanie.

Najgłębszą bowiem podstawą moralną naszego ruchu jest wiara w to, że duch jest bardziej rzeczywisty niż ciało, wiara, że ten byt natury duchowej, typ życia duchowego, jakim jest naród, jest istotnym podmiotem dziejów. Ta wiara w odniesieniu do nowej epoki i naszej Ojczyzny znaczą, że Polska po tej wojnie będzie odbudowana większa niż była, że cierpienia obecne i straty są niezbędnym wkładem a nie tylko niezasluzoną krzywdą, że je wykorzystamy dla zbudowania Wielkiej Polski.

W tej chwili żyjemy w okresie Wielkiej Nocy. Noc panuje nad Polską, a "*każda nowina przeraża, bijąca z kraju jako głos z cmentarza*". Ale ta Wielka Noc to także noc Zmartwychwstania. Nie ślepa wiara jeno nam to mówi, ale i chłodny rozsądek także. Zagraliśmy bardzo wysoko. Utrzymać się musimy na wysokości tej gry i wygrać.

"*Aż orły nasze lotem błyskawicy spadną w dawnej Chrobrego granicy*".

STANISŁAW KOWALSKI

EUROPA WSLUCHANA

w WIELKĄ BRYTANIĘ

WYDAJE się czasem, że środowiska naszych zachodnich Sprzymierzeńców, omawiając i tworząc liczne projekty w stosunku do Kontynentu, a nawet niekiedy przesądzać decyzje, za mało zdają się zwracać uwagę na ten prosty fakt, że jakkolwiek Europa w tej chwili zachowuje się jak niemowa, a raczej jak częściowo unieruchomiony człowiek z kneblem w ustach, to jednak są to w rzeczywistości żywi ludzie, którzy w tych sprawach, będących i ich sprawami, mają wcale określone poglądy.

Nie zawsze dokłada się dostatecznych starań, aby wysłuchać nieobecnych, przy czym ulega się zwyklemu zjawisku zapomnienia w stosunku do ludzi, których się nie ma pod ręką i na oczach. Gdy więc dość często nie usiłuje się wysłuchać opinii samych nieobecnych narodów (co jest czynnością niewątpliwie trudną, ale bynajmniej nie niemożliwą), a opinię t.zw. "rządów emigracyjnych" (która to nazwa jest w wielu wypadkach, n.p. w wypadku Polski absolutnie mylna), chętnie się uważa za conajmniej niezbyt pewną ze względu na oddalenie przestrzenne i czasowe tych rządów od ich źródeł — powstaje owa atmosfera łatwości w robieniu planów, która może sprawić wrażenie twórczej płodności, ale która napewno nie wiele ma wspólnego z realną rzeczywistością. W tych warunkach, aby przecież nie opierać się na zupełnie domysłach, imieniem Kontynentu przemawiają dość osobliwego pokroju "eksperti od Europy", którzy bardzo często nie wiele z Kontynentem mają wspólnego, a charakteryzują się tym, że mówią zawsze to, co autorzy planów i projektów usłyszeć pragną.

W ciągu z górą roku mego pobytu w Anglii miałem niejednokrotnie okazję stykania się z symptomami tego zjawiska i zastanawiania się nad jego pochodzeniem. Świeżej okazji, dostarczyły ostatnie zdarzenia polityczne, ściślej mówiąc te zdarzenia, które rozpoczęły się wydrukowaniem w moskiewskiej "Prawdzie", a następnie powtórzeniem przez londyński "Soviet War News", przez biuletyn sowieckiej Ambasady w Waszyngtonie, i wiele innych pism, artykułu Aleksandra Korniejczuka.

Wydaje mi się, iż z wielu powodów jest rzeczą słuszną, aby uczynić największy możliwy wysiłek zdążający do powrotnego zbliżenia myśli Kontynentu i myśli Wielkiej Brytanii. Jedną z takich prób jest artykuł niniejszy. Przy tym daleki jestem od wchodzenia w jakieś głębokie i powikłane analizy polityczne. Moim zadaniem, jak je sobie stawiam, jest sformułowanie odpowiedzi na proste pytanie, które mi parę razy przelotnie na tych wyspach stawiano: "Jak Europa widzi Wielką Brytanię?"

Rzecz prosta, że pytań tego typu mogło być i musi być więcej, więc nadewszystko pytanie: "Jak Europa widzi Stany Zjednoczone?" Lecz to było by już nieco inne zagadnienie. W artykule niniejszym ograniczam się do Wielkiej Brytanii. Raz dlatego, że znam oba elementy zestawienia, i Kontynent, który — przejechawszy wiele krajów — nie tak dawno opuściłem, i Wielką Brytanię, — Stanów Zjednoczonych zaś nie znam. A po drugie dlatego, że Wielka Brytania i w losach Europy i, zwłaszcza, w dziejach

tej wojny odegrała i odgrywa w stosunku do Kontynentu rolę zupełnie specjalną.

Pytanie więc zostaje postawione: "Jak Europa widzi Wielką Brytanię?"

WRZESIEŃ 1939

Nie należy taić, że Anglia była w Europie naogół niepopularna i nie lubiana. W dużej mierze pochodziło to stąd, że Wielka Brytania żyła nie w Europie, ale na marginesie życia Europy i że nurt spraw Kontynentu szedł mimo nurtu spraw angielskich.

Istnienie w przeszłości tego przedziału uświadomiłem sobie szczególnie wyraziście podczas oglądania pięknego filmu "The Young Mr. Pitt". Ludzie tego filmu, mówiąc o Trafalgarze, mówili "zwycięstwo". Uświadomiłem sobie, że na lekcjach historii u nas, ale w innych krajach Kontynentu także, mówiło się przy Trafalgarze — "klęska". Używanie tego słowa nie miało w sobie nic wrogiego, ani nie było opowiedzeniem się po którejś z dwóch stron. Zaznaczało jedynie jakiś dawny podział, z którego wytlala cała świeżość, a który ograniczał się jedynie do podświadomego podbarwienia uczuć.

Polacy stali się przyjaciółmi współziomków Pitta i Nelsona, nawiązali z nimi najsilniejsze braterstwo, bo braterstwo broni, przekroczyli granice Wysp Brytyjskich i granicę wszelkich rozdźwięków, ale ten wytlala rekwiwit, błagający się po zapających strychach podświadomości, jeszcze został jakby na znak, że taki podział kiedyś, może jeszcze do bardzo niedawna, istniał.

Lecz niepopularność Wielkiej Brytanii w Europie pochodziła nie tylko z rozmiłowania się interesów. Powodem niepopularności i niechęci były konsekwencje odmiennych cech psychicznych, które wykształciła wyspiarska izolacja.

Człowiek Kontynentu nie rozumiał i człowieka Kontynentu raziło wiele cech brytyjskich, o których słyszał. Raził go egoizm, wyrażający się w chęci uciekania od współpracy w odosobnienie, i wyraźny kult pieniądza. Raził fakt, uzewnętrzniający się w pociągnięciach polityki brytyjskiej, uważania innych narodów za narzędzie gry politycznej, i występująca bardzo dotkliwie w zetknięciu z obcymi cechami dawania do odczucia swojej wyższości. Niepopularna również bardzo była typowo angielska cecha, natury intelektualnej raczej niż moralnej, która polega na umiejętności nie słyszenia, nie dopuszczania do siebie argumentów i prawd, których w danej chwili nie chce się słyszeć. Nie rozumiano również istoty angielskiej właściwości posługiwania się kompromisem, która to właściwość tak głęboko wchodzi w angielską psychikę, że wkracza nawet w dziedzinę decyzji moralnych. Często nawet one mają być rezultatem kompromisu, czego człowiek Kontynentu nie mógł zrozumieć.

W tych wszystkich opiniach, które się ustaliły w Europie o Anglii, i które miały siłąną a powszechną moc obiegową, więcej niewątpliwie niż prawdy było świadomej pracy ludzi, których liczba napewno nie zaczyna się na osobie dr. Goebbelsa. Trzeba bowiem sobie uświadamiać, że fałszerska

robotą informacyjną Niemiec, oraz nie tylko Niemiec, miała nie tylko jedną linię kierunkową — ze wschodu na zachód. Była to gra o conajmniej dwu kierunkach. Nietylko naprzykład trzy czwarte wiadomości o Polsce w encyklopediach angielskich i trzy czwarte syntez dotyczących Polski w angielskich naukowych monografiach jest pochodzenia niemieckiego, ale pochodzenia również niemieckiego jest większość opinii o Anglii, które kursowały w Europie. Przyjeżdżając do Anglii spodziewałem się zastać jedną z najbrzydszych stolic, ciężką i pozbawioną wdzięku, tymczasem mieszkam już z górą rok w Londynie i co dnia niemal odkrywam nowy jego wdzięk i niezwykłość.

Tak czy inaczej, Europa do września 1939 roku w ten właśnie sposób widziała Wielką Brytanię. Nie był to obraz pochlebny a czasy "appeasement" i Monachium nie przyczyniły się ani do wzrostu prestiżu Wielkiej Brytanii w Europie, ani do zmiany barwy uczuciowej w stosunku do niej.

WRZESIEŃ 1940

Ten okres czasu, między wrześniem 1939 a wrześniem 1940, począł zmieniać te nastroje, lecz zmiana dokonywała się nierównomiernie w rozmaitych krajach. W Polsce, mimo nie otrzymania spodziewanej pomocy, od pierwszej chwili powstał entuzjazm dla Wielkiej Brytanii. Lecz gdy tak dziś rozważam te czasy, wydaje mi się, że w owym początkowym entuzjazmie nie było jeszcze tego wszystkiego, co jest dzisiaj. Było już wdzięczne serce, ale nie było jeszcze w tej przyjaźni — duszy. Przyjaźń polsko-brytyjska nie miała jeszcze swej duchowej treści. Te rzeczy, zwłaszcza u narodów o starszej kulturze, muszą mieć swój czas dojrzewania. Wojna i jej specjalne warunki ten czas skróciły, lecz przecież upłynął cały rok, nim ten proces osiągnął swoją dojrzałość.

Warto pamiętać, czym był dla ludów Kontynentu-wrzesień polski, luty fiński, kwiecień norweski, maj belgijsko-holenderski, czerwiec francuski, marzec grecki i jugosłowiański. Gdy się na te rzeczy patrzyło nie z oddalenia lub zagrożonego nawet często auta dyplomatycznego, ale gdy się to osobiście przeżywało, gdy się było jednym z mieszkańców Kontynentu — w tych czasach doznawał człowiek "końca świata", "rozwarcia się piekiel". Myślę, że w całej historii nowożytnej były to chwile najstraszniejsze. Nie dawały się porównać z żadną żywiołową najcięższą nawet katastrofą, kiedy można odnosić wrażenie, że świat widziany się kończy. To było coś znacznie większego i gorszego. Zdawał się kończyć świat widzialny i świat duchowy. Do cierpień fizycznych dołączały się nie do zniesienia tortury psychiczne. Rzecz, która powodowała katastrofę, nie wydawała się mieć nic z przypadku, ze ślepego żywiołu przyrody, miała widoczne cechy programowego i świadomego zła, które odnosiło tryumf za tryumfem.

Ludzi przerażał nie tyle sam fakt klęski, bombardowań, masowych śmierci, pobożników zasłanych trupami, ile to, że ich świat wartości duchowych, do którego zwykli się uciekać w chwilach trudnych, także rozpadł się pod morderczymi ciosami jakiegoś innego świata, obcego, nienawistnego i pełnego zła. Wrażenie końca świata pochodziło stąd, że znikąd nie było widać nadziei i ratunku. Pamiętam lato 1940 roku w Bukareszcie i to gorące popołudnie, kiedy nadeszła wiadomość o kapitulacji Francji. Rumunia i Bukareszt zapchane były już Niemcami w mundurach. Na ulicach było duszno nie tylko z powodu upału. Ci sami obywatele

Rumunii, którzy dziś tworzą oddziały na froncie wschodnim, płakali na ulicach. W autobusie, którym jechałem płakało wiele osób. Na chodnikach chłopcy wywoływali dodatki nadzwyczajne pism.

W tych warunkach nie łatwo było zdobyć się na wiarę w zwycięstwo dobra, a w każdym razie na zwycięstwo tak szybkie, aby przypadło jeszcze na koniec bodaj przeciętnego ludzkiego życia. Nie łatwo było odrzucić podsuwaną pokusę do wejścia do zwycięskim światem zła w pakt kompromisu.

A jednak te rzeczy się zdarzały.

Nie moją jest rzeczą mówić o Polsce. Myślę, że właściwiej będzie, gdy powiem parę słów o Jugosławii. Tej Jugosławii zaproponowali Niemcy bardzo nęcący kompromis i współpracę. Jugosławia postawiła nawet kilka kroków na drodze ku temu kompromisowi. Lecz nie! W ostatniej chwili dobrowolnie kompromis odrzuciła ustami swego młodego Króla i męstwem gen. Michajłowicza. Uczyniła to przy pełnej wiedzy tego, co wybiera, co ją czeka, czego ma się spodziewać. Wiedziała, podejmując decyzję, że wybiera dla Jugosławii "koniec świata" w pojęciu materialnym, ale równocześnie jakieś dalekie w owej chwili wartości, na których przyjscie nie było żadnych nadziei. Ten wybór został dokonany nie na podstawie racji rozumowych, bo tych nie było, ale w następstwie istnienia w człowieku wiary w wartości idealne. W trzy dni po tej decyzji-Belgrad leżał w gruzach.

Dziś myślę nieraz o tym gen. Michajłowiczu, który nie w Londynie, ale w lasach Jugosławii niesie konsekwencje swojej śmiesznej, kontynentalnej wiary. I myślę o tych dziennikarzach w wolnej części świata, którzy pod wpływem oportunizmu piszą, że gen. Michajłowicz jest agentem Osi i współpracuje z Niemcami.

WIELKA BRYTANIA JAKO SYMBOL

Wszyscy to wiedzą, ale nie wielu ludzi tutaj wie w jak strasznej postaci stanęła w owych pierwszych dwóch latach nad Europą — noc. W mrokach tej nocy poczęło jednak pojawiać się, zrazu wątłe, światło. Tym światłem była Wielka Brytania. Chcę podkreślić, że świetlistość Anglii dla kontynentu Europy pochodziła wówczas nie z wiary w jej siłę wojenną i zdolność przyjscia z odsieczą. W tych czasach nie wiele rzeczy uprawdopodobniało takie nadzieje, bo ani korpus ekspedycyjny we Francji, ani pomoc Finlandii, ani Norwegia, ani Libia, ani Grecja, ani Kreta; a nadzieja odsiecz, która oczywiście istniała, rysowała się w takiej odległości, że nie mogła tworzyć budulca doraźnej otuchy. Cała wspaniałość Anglii, która zaczęła rość przed Europą i cała siła Anglii, która zaczęła na Europę promieniować, pochodziła jedynie z faktów niematerialnych, z tego poprostu, że oto istnieje wolny kraj, który, mogąc ostatecznie ułożyć się z antychrystem, trwa w walce w imię wielkich hasel cywilizacji.

Ta droga awansu Anglii do roli żywego symbolu nie została przeżyta od razu. Lecz pomogli w szybkim jej przebyciu sami Niemcy. Stało się to w tygodniach "bitwy o Wielką Brytanię." Pamiętam te tygodnie, przeżyte i przecierpiane w "neutralnym" kraju, ściśniętym propagandowymi obcęgami niemieckimi. Żaden wróg dotąd nigdy tak nie rozgłosił wielkości przeciwnika, jak to uczynił wówczas Niemcy, których kardynalną niecierpię, jest nieznaną ludzkiej psy-

chologii. Przez kilka tygodni zalewały człowieka kontynentu huragany wiadomości o Londynie i Wielkiej Brytanii, która leży w spowitych gryzącym dymem i trupim zaduchem gruzach. Z wściekłe tłumionych nadań londyńskich nie można było wysłuchać słów, ale przez trzask i chrobot głoścących maszyn przenikała poszarpana, jak sztandar polowy, lecz cała i zwycięska melodia niezwykle, zdawało by się, piosenki: "A król ciągle jest w Londynie, a król ciągle jest w Londynie . . ."

Dokonała się w owych dniach rzecz, dla której nie znajduję właściwego porównania. Proces, który rozpoczął się na kontynencie 1-go września 1939 r., osiągnął swój zwycięski finał. W kilku dniach zwały się wszystkie różnice między kontynentem a Wielką Brytanią, runęły wszystkie kłamstwa o niej. Zniknął przedział wyższości, który tak drażnił. Dokonało się zrównanie w cierpieniu, bohaterstwie i zasadniczej postawie cywilizacji zachodniej "wierzenia przeciw nadziei", "credere contra spem", utrzymania wiary mimo nacisku materialnych rekwiżytów, które istnienia takiej wiary nie uzasadniają. W tych czasach nastąpiło na wielkim obszarze ludów takie zespolenie i taka jedność, jakiej nie łatwo znaleźć w historii. Powstało zjawisko o potęgę zupełnie wyjątkowej, której nie ośmielał się nawet określać. Sądzę, że to wówczas została przesadzona klęska Niemiec.

Zespoleniu temu przewodzi Wielka Brytania. Anglia w tych dwóch pierwszych latach staje się symbolem, żywym wyrazem ideału. Nie tylko dlatego, że od niej przyjdzie wyzwolenie, lecz przede wszystkim dlatego, że za jej sprawą przyjdzie przywrócenie praw naszej cywilizacji. Wydaje się pewnym, że dla zbiedzonych ludzi kontynentu na drugim dopiero miejscu stoją relify, jedzenie, pomoce i planowania, a na pierwszym przywrócenie norm prawa. Gdyby musieli wybierać pomiędzy pieniądzem, natychmiast usuwającym nędzę, a przywróceniem panowania prawa, wybrali by prawo, choć są w śmiertelnej nędzy. Gdyby zaglądnąć do więzień i obozów koncentracyjnych Europy, w kręgi najstraszniejszej, bitej, głodzonej i torturowanej ludzkiej bezradności, aż wstrząsnęła by swoją liczebnością ta ilość strzępów ludzkich, które siłą woli utrzymują w sobie iskrę życia tylko z jednego powodu, że istnieje na świecie taki kraj, Wielka Brytania, która obiecała przywrócić prostym prawdom ludzkim ich bezwarunkowe znaczenie.

Zdarzali się Anglicy, którzy zadawali mi pytanie: "Jak Europa widzi Anglię?", "Czy Europa jest życzliwie dla Anglii usposobiona? .." Czy jest życzliwie usposobiona? .. Ależ Europa jest wlepiona w Anglię słuchem i wzrokiem. Wzrok każdego człowieka podbitej Europy zawieszają się wypatrywaniem na skrzydle angielskiego samolotu, słuch wgnieciony jest w ukrywane, śmierć niosące głośniki, rozgłaszające wiadomości z Londynu, usta położone są na każdym słowie angielskim, mówiącym słowa "wolność", "prawo", "sprawiedliwość".

Sądzę, że tak wielka władzę nad duszami i tak wielki autorytet uzyskało poraż pierwszy w dziejach państwo świeckie. A uzyskało to nie w następstwie posiadania siły, lecz w następstwie zajęcia postawy moralnej.

Bowiem Europa uwierzyła w to i wierzy wytrwale, że Wielka Brytania prowadzi wojnę w imię zasad moralnych. Ze jest to wojna ideologiczna.

MARZEC 1943

Nie wiem, czy wojny Średniowiecza były tylko wojnami ideowymi. Sądzę, że nie wiele

jest wypadków, kiedy jedynym motywem prowadzenia wojny jest słuszny powód ideologiczny. W wypadku jednak tej wojny interes prowadzących działanie przeciwko państwu "Osi" pokrywa się najzupełniej z zasadami słuszności moralnej. Każdy z uczestników po tej stronie frontu ma pełne moralne prawo powiedzieć, że uczestniczy w wojnie ideowej, że jest to wojna ideologiczna.

Sytuacja nie zmieniła się pod tym względem w dniu 22 czerwca 1941, kiedy do wojny weszła Rosja sowiecka, mająca poza sobą zabór połowy Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Besarabii i Bukowiny. Z kolei Rosja stała się przedmiotem agresji, znalazła się więc po tej stronie frontu. Sytuacja nie zmieniła się także, gdy zawierano z Sowietami sojusze i układy, gdy stawał 20-letni sojusz wojskowy brytyjsko-sowiecki. Był to sojusz militarny, przewidywał rozgraniczenie spraw wojskowych od spraw ustrojowych. Do tej chwili nic się nie zmieniło.

Treść ideologiczna tej wojny zawisa jednak na krawędzi w takich chwilach, kiedy jest mowa o przyznaniu racji sowieckim żądaniom terytorialnym, albo o powojennej współpracy z Rosją sowiecką bez określenia zasad tej współpracy, albo o oddaniu Rosji sowieckiej "leadership'u" nad wielką częścią kontynentu europejskiego. W takich razach zachodzą już inne warunki, niż przy sojuszach wojskowych. Tu jest ważna również treść wewnętrzna Rosji.

Wiadomo powszechnie, że naród polski chce trwałego porozumienia z Rosją, że uważa to porozumienie za jeden z kamieni węgielnych polskiej polityki zagranicznej. Takiego porozumienia chce przede wszystkim to stronnictwo polskie, w którego organie ukazuje się niniejszy artykuł. Dążąc do swoich porozumień, Polska uznaje zasadę nie mieszania się do wewnętrznych spraw innych państw, również i do ustroju Rosji sowieckiej. Lecz w okolicznościach, gdy ta treść wewnętrzna nie występuje nazwewnątrz. Przy powstaniu natomiast takich warunków współpracy, gdy drzwi granic mają się otworzyć szerzej, a treść wewnętrzna ma wypłynąć nazwewnątrz, Polacy, ale i wszyscy inni, muszą się pytać o to, co im z tych otwartych drzwi wychodzi na zaprzeciw.

Ideologiczny charakter tej wojny, tak jasny do tej chwili, zatracił by się od razu, gdyby zgodzono się na jakąkolwiek wewnętrzną współpracę powojenną z Sowietami bez użycia wrzód gwarancji, że w Rosji sowieckiej zostaną usunięte te ogniska i te zamiary, które są zwrócone przeciw podstawowym wartościom naszej cywilizacji.

Nawołuje się głośno, żeby niczym nie pomóc, broń Boże, Goebbelsowi w jego szantażowaniu Europy "straszakiem bolszewizmu." Tak jest, należy wszystko zrobić, żeby tym wrogom ludzkości nie ułatwiać ostatnich rozpaczliwych prób zniszczenia. Ale do tego momentu tylko, w którym powściągliwość taka staje się już aprobowaniem tych samych sił destrukcyjnych, jakie reprezentuje hitleryzm. Zachowując najdalej idącą powściągliwość, nie należy zaprzestać myśleć. Walcząc z niemieckim straszakiem bolszewickim, trzeba sobie jednak zadać pytanie, dlaczego się tak dzieje, że bolszewizmem można straszyć, że Goebbels, który nie może już użyć żadnego ze swych argumentów, bo poprostu nie chwytają, tego użyć może z nadzieją na powodzenie. Znana publicystka amerykańska, Anna O'Hara MacCormick napisała 6 marca b.r. w "New York Times": "Jest rzeczą zmienną, że to właśnie Stalin przez jedno bezwzględne wspomnienie o rozszczeniu do krajów graniczących z Rosją, wzbudził więcej obaw przed Sowietami, niż Hitler mógł wywołać przez całe dwa lata

alarmistycznej propagandy". Nie wolno ułatwiać roboty Goebbelsowi, ale należy baczyć, kto straszenie bolszewizmem uprawdopodobnia. Rosja sowiecka nie poraz pierwszy w czasie tej wojny czyni takie rzeczy, które już w sposób zupełnie materialny wpływają na wysiłek wojenny państw sprzymierzonych i samą wojnę przedłużają.

Nastroj Europy jest w tej chwili tak pojednawczy, w następstwie przejść z Niemcami, że gotowa jest ona przyjąć do swej wielkiej rodziny z otwartymi rękami każdego i zapomnieć mu wszystko z przeszłości, lecz musi wiedzieć, że wartości, które z takim wysiłkiem szaleńczej wiary uratowała z piekła, z "końca świata" — nie zostaną pogrzebane ciosem z innej strony. Europa wyciąga braterską dłoń do każdego, do Rosji także. Nie ukrywa zdrady. Nie chce robić w Rosji przewrotu i wyganiać ani obecnego sowieckiego reżimu, ani obecnych ludzi. Chce tylko jednego, aby sowiecka Rosja wyrzekła się tego, co w jej życiu jest z ducha destrukcji skierowanej przeciw naszej cywilizacji. To jest niezłomny warunek Europy, że droga przystosowywania się w tej płaszczyźnie spraw musi iść nie od Europy do Rosji sowieckiej, lecz od Rosji sowieckiej do oczyszczonych, unowocześnionych, jednoznacznych prawd cywilizacji chrześcijańsko-zachodniej. Bo jest to płaszczyzna spraw najwyższych, wyższych nawet niż bohaterstwo i przelana krew na polu bitwy. Tego kierunku drogi nie może odwrócić nic, najpiękniejszy nawet Stalingrad.

Osobiście wierzę głęboko, że takie pojednanie w ciągu tej wojny się dokona. Lecz do dziś dnia, do pierwszych dni kwietnia 1943 roku znaków i gwarancji takiego pojednania nie ma. Przeciwnie, są rzeczy odwrotne. Istnieją dowody na to, nawet nie ukrywane lecz głośno akcentowane, że Rosja nie tylko nie wyrzekła się owych cech antycywilizacyjnych, lecz jeszcze je wzmożła. Żądanie połowy Polski, żądanie odjęcia niepodległości Litwie, Łotwie i Estonii, żądanie Besarabii i Bukowiny, nieludzka gra w Jugosławii, wpędzenie Finlandii w sytuację tragiczną, która ma coś z zaszczucia — to są nie żadne "względy strategiczne" i "zapewnienia bezpieczeństwa", to są prosto symptomy tych ognisk, które kierują się w Rosji sowieckiej przeciw cywilizacji zachodniej. Jest rzeczą nieludzką handryczyć się o kawałki ziemi narodu, w chwili, kiedy ten naród, Polska cała splywa krwią. Jest rzeczą nieludzką żądać części ziemi tego narodu, który rozpoczął wojnę ideologiczną właśnie dlatego, żeby nie oddać swojej ziemi. Czytałem ostatnio artykuł sowieckiej "Prawdy" z dn. 27 marca b.r., udawadniający na podstawie "historii" prawo Rosji do żądania połowy Polski. W tym artykule, który jest jedną wielką kpną już nie tylko z prawdy historycznej, ale z każdej biblioteki naukowej typu zachodnio-europejskiego, schodzimy w kręgi najgłębszego chaosu. Przystają znaczące cośkolwiek słowa normy, prawa, zdrowy sens. Jeśli nie obiektywna prawda, to znaczyć coś dla Rosji sowieckiej powinna w tych sprawach opinia Lenina. Ten prorok sowieckiej Rosji stwierdził dobrowolnie, i to w takim czasie, kiedy nie musiał tego mówić, że ziemię tę są polskie i Polsce przynależą. Nie wydają się również rzeczą w linii postępowania czystą owe demonstracyjne mianowania Korniejczuka na wysokie stanowiska w polityce sowieckiej, ani owo operowanie skłamanymi plotkami na temat coraz większej współpracy Polaków z Niemcami.

EUROPA WŚLUCHANA W ANGLIĘ

Teoretycznie się o tym wie, lecz w praktyce się tego nie bierze pod uwagę, że w sprawie Kontynentu mają coś do powiedzenia, że wiedzą coś o nim również ludzie Kontynentu. Człowiek podbitej Europy ma knebel na ustach, ale pozostał mu wzrok. Patrzy i widzi. I myśli. Mimo tego, że Niemcy w krajach okupowanych niszczą przede wszystkim "inteligencję", żyje jeszcze w Europie sporo ludzi, obdarzonych inteligencją i rozporządzających wiedzą, którzy jasno widzą i dobrze rozumieją mechanizm spraw międzynarodowych. Uświadamiają sobie wcale jasno, co było zewnętrznym punktem wyjścia, trampoliną kariery tych strasznych ruchów, do jakich należał hitleryzm. Te ruchy mogły znaleźć po poprzedniej wojnie aż takie powodzenie jedynie w atmosferze groźby, a częściowo już i rzeczywistości chaosu, jaki niósł w sobie wówczas komunizm. Obawiają się na Kontynencie, żeby ta rzecz nie powtórzyła się, lecz już w skali olbrzymiej i z sankcją krajów anglo-saskich. Z Wielkiej Brytanii pewnych rzeczy nie widać, ale widzą je dobrze oczy ludzi Kontynentu. Oni mogą w swoich krajach dzień w dzień patrzeć na pracę wysłanników Rosji sowieckiej, którzy organizują działania wyraźnie polityczne, nic z oporem nie mające wspólne.

Dnia 10 marca wieczorem anteny angielskie i anteny Berlina nadały jednocześnie artykuł, który tego dnia pojawił się na wstępie strony redakcyjnej "The Times". Anteny angielskie nadały ten artykuł w skrócie, anteny berlińskie w całości. W Europie miłość do Wielkiej Brytanii, rodząca się w chwili "walki o Londyn", stała się czymś więcej, niż symbolem. Być może, tego wieczora owa miłość była owiana smutkiem. Lecz napewno nie zmieniła ani na jotę swego natężenia. "Times" to jeszcze nie cała wielka Brytania. Wprawdzie taki artykuł niewątpliwie pomaga niemieckiej totalnej mobilizacji i wpływa na przedłużanie się wojny. Anglia może wytrzymać pół roku dłużej wojennego czasu, Kontynent o wiele, wiele gorzej. Ale i ten dodatkowy a niepotrzebny czas się przetrzyma i przetrzyma.

Być może, owego wieczoru człowiek Kontynentu myślał o tym, czym w istocie dla pewnych ludzi są zdobycze cywilizacyjne. Że wydają się być tylko dodatkiem do miar materialnych. Im większa przestrzeń, a więc i siła, tym bardziej opada dla nich jedna po drugiej wartość cywilizacyjna. Aż gdy przestrzeń dochodzi do takiej wielkości, jaką jest przestrzeń Rosji, odpadają wszelkie wartości. Wyrasta prawo silniejsze nad nie, prawo kilometra: kierować połaciami świata ma ten, kto ma fizyczną siłę.

Być może, zjawiała się tego wieczoru myśl, że zasady demokracji u tych ludzi są na ustach, ale nie w uczynkach. Na kontynencie podejrzenie budziła już dawniej zasada "wielkiej czwórki". Definicje mają swoje konsekwencje. Zasada demokracji odnosi się nie tylko do wewnętrznych stosunków, ale również do stosunków zewnętrznych, międzynarodowych. W czasach potępienia imperializmu, największa, na najpiękniejszych zasadach oparta organizacja pokoju międzynarodowego chce przyjąć za podstawę programową — skondensowany imperializm! Być może, że osobliwy korespondent "Timesa" jest w możności wyinterpretować postanowienia Kongresu Wiedeńskiego do wyżyn czystości demokratycznej, lecz na Kontynencie ludzie oprą się raczej na zapamiętanych ze szkół i uniwersytetów danych, niż na zdaniu "Timesa" i będą o "świątym

przymierzu" tego zdania, co ów uczony z Oxfordu Rehan O' Butler, który napisał w swojej książce "The Roots of National Socialism" że polityczne następstwo klęski Wielkiej Rewolucji otworzyły zwycięzcom drogę do caryzmu.

Być może, iż owego wieczoru, kiedy się przekonano, do jakiego stopnia świata imponują miliony ludzi i kilometry przestrzeni, zabrali się na kontynencie ludzie do zestawiania rachunków. Kraje podbitej Europy wiele rzeczy dzieli, ale wiele spraw bardzo silnie je łączy. Do tych rzeczy, która łączy, należy stosunek do "leadershipu" Rosji sowieckiej. "Leadershipu" tego nie chce 150 milionów ludzi z krajów podbitych przez Niemcy i 60 milionów ludności krajów neutralnych, jeśli się odrzuci zdanie satelitów Niemiec, wśród których to ludzi nie całe 82 miliony myślą kategoriami hitleryzmu.

Razem więc 210 milionów. Jest tu nadwyżka co najmniej 40 milionów nad liczbę mieszkańców Rosji. Ta prawda Europy wyraża się w sposób bardzo prosty: 210 milionów ludzi chce, żeby Rosja weszła do współpracy po uprzednim wyrzeczeniu się ognisk antycywilizacyjnych, i też same 210 milionów nie życzy sobie żadnego sowieckiego przewodnictwa nad całością czy częścią kontynentu. Oczywiście, iż fakt, że taka liczba ludzi w ten wspólny sposób myśli dziś, nie oznacza jeszcze tego, aby 210 milionów Europejczyków miało tak myśleć zawsze w przyszłości. Przy zasadzie zgodzenia się — wbrew ludom Europy — na "leadership" sowiecki nie nie gwarantuje, że Rosja sowiecka wyrzeknie się takich instytucji, jak N.K.W.D. A przy zostawieniu tej wielkiej armii policyjnych szturmówek i rozszerzeniu jej władzy na większą część Europy, po jakichś dwudziestu latach może nie całe już 210 milionów, ale już tylko jakichś 200 milionów będzie myślało zgoda inaczej, tak samo, jak myśli dziś towarzyszy Korniejczuk. Tylko, co Wielkiej Brytanii z takich ludzi? I co z nich ludzkości?

Człowiek podbitej Europy ma knebel na ustach, lecz nie został unieruchomiony. Człowiek podbitej Europy, choć jest w tej chwili niemową, bynajmniej nie milczy. Tylko jego głos nie zawsze jest wysłuchiwany. Bardzo często zapomina się o tym, że największy front tej wojny jest, i to bez chwili przestanku, w samej Europie. Tu już nie chodzi o same sabotaże, które w łącznej sumie stanowią codzienny odpowiednik wielkich bitew zdarzających się raz na kilka miesięcy, lecz o fakt nie poddania się i związania wielkich armii, które nie mogą być użyte gdzieindziej. W tym fakcie, że Europa nie poddała się, że nie przyswoiła sobie hasel chwilowego zwycięzcy tkwi największe zjawisko tej wojny. Wiele mówi się o tym, że powinny być nagrody, nawet kosztem dogięcia pewnych zasąd, dla sił militarnych, które się biją i zwyciężają. Lecz czyż nie powinno być nagrody przede wszystkim dla największego frontu tej wojny? Nagrody jakże skromnej: przywrócenia prawu, zasadom, założeniom cywilizacyjnym ich mocy obowiązywania!

NADZIEJA EUROPY

Nie jesteśmy razem z ludźmi Kontynentu w tej ich nacięższej chwili. Istnieją wszakże dostatecznie wyczerpujące i autentyczne podstawy, abyśmy znali dokładnie ich myśli, ich pragnienia i ich nadzieje.

Wydaje się pewne, że Europa jest w tej chwili przede wszystkim śmiertelnie zmęczona. Wrzesień i lipiec po roku 1939 nie były pierwszymi kręgami piekła. Może i dlatego wydawały się one tak czarne, że Europa od lat

kilkunastu była w nieustających skrętach drgawek i szamotań. Bezustannie jej czymś grożono, ciągle kazano się mobilizować, ciągle obiecywano coraz to inne zbawcze i jedyne lekarstwa, w imię których trzeba było wydobywać ze siebie ostatnie uncje energii. Europa bezustannie brodziła w świecie widm i strachów.

Europa jest przede wszystkim straszliwie zmęczona. Nie chce żadnych nowych eksperymentów i cudownych recept, żadnych prób i oślnień, chce poprostu, po ludzku — spokoju. Chce mieć, przynajmniej przez jakiś czas, spokój na zalizanie ran fizycznych i duchowych. Chce panowania prawa. Chce czasów uciwoci. Jest rzeczą pożyteczną, aby ci wszyscy, którzy się tak szlachetnie i tak pięknie mozolą nad planowaniami i rekonstrukcjami, wiedzieli, że ludziom, którzy przeszli piekło okupacji trzeba przywrócenia tylko kilku prawd, ażeby byli szczęśliwi i mogli stworzyć życie. Kilku prawd. Między innymi przywrócenia wartości, jednoznaczności, bezwarunkowości słowa. Chcą, żeby sprawiedliwość oznaczała sprawiedliwość bez komentarzy i rezerwatów dla silnych. Chcą, żeby wolność oznaczała wolność, karną i powściągliwą, ale nie wolność nowego "świętego przymierza". Chcą, aby demokracja oznaczała to, co pod tym terminem rozumie cywilizacja zachodnia, żeby demokracja była istotnie demokracją w znaczeniu integralnym, mającym walor wszędzie i bez wyjątków. W stosunkach wewnętrznych państw i w stosunkach między państwami.

W tej chwili Wielka Brytania razem ze Stanami Zjednoczonymi w sercach ludów Europy jest wysoką instancją moralną i wielką nadzieją sprawiedliwości. Posiada nad duszami milionów na Kontynencie władzę tak wielką, że jej przyrównać nie można do żadnej dotychczas duchowej władzy innego państwa świeckiego. Kontynent wierzy jeszcze w pełni Wielkiej Brytanii, wierzy krajom anglo-saskim. Jest w nie wsłuchany i wpatrzony.

Nie chcę twierdzić, że w wypadku osłabienia się tej wiary, przestaną widzieć w Wielkiej Brytanii swoją wybawicielkę, albo o krok osłabiają swoją oporną wobec wroga postawę. Nie, tej rzeczy, przypuszczam, nic nie jest w stanie zmienić. Tylko po osłabieniu tej wiary i nadziei była by to już tylko wyrozumowana współpraca interesu, a nie zaufania w wartości moralne, które Anglia w tej chwili dla Europy ucieleśnia. Zapewne, powstałaby z takiej postawy całość, całość znowu mechaniczna, a nie organiczna, a nie duchowa, która jest jedyną formułą na szczęście świata, o którym się tyle mówi, i którego się tak mozolnie szuka. Tak się szczęśliwie złożyło w tych nieszczęśliwych czasach, że ponad tym chaosem, podziałami, zasiekami kolczastymi za sprawą wartości duchowych powstała pod przewodnictwem Anglii i Stanów Zjednoczonych wielka, duchowa jedność, powszechne zespolenie. W tym zespoleniu leży klucz szczęścia lub kataklizmu całej ludzkości.

Wierzę mocno, uparcie i niezłomnie, że ufnosć owa, stanowiąca podstawę tego zespolenia nie będzie zawiedziona. I nic mi nie może wydrzeć tej wiary, która powstała w otchłani polskiego września i utrzymała się w tygodniach "walki o Wielką Brytanię".

STANISŁAW KOWALSKI

AL. DEM.

AMNESTIONOWANI

POLSKA odmówiła Ribbentropowi zapewnienia neutralności w razie napadu Niemiec na Państwa Zachodnie i została sama przez Niemcy napadnięta. Całość sił niemieckich zwała się na nas, spokojnie i glucho było na sojuszniczej francuskiej granicy. Siedemnastego dnia boju siły zbrojne polskie zmagaly się w najwyższym wysiłku. Wtedy Rosja Sowiecka, związana z Polską szeregiem traktatów i paktów o nieagresji, oświadczyła w nocy z 16 na 17 września (cztery lata później data ta była uczczona rautem w pałacu Rotszylda z gościnnie zaproszonymi na ten dzień przedstawicielami Związku Sowieckiego) naszemu ambasadorowi w Moskwie, że Polska istnieć przestała i wojska sowieckie wkroczyły na jej teren dla rzekomej obrony naszej ludności. Później Sowiety podzieliły się w układzie Ribbentrop-Mołotow ziemią polską z Niemcami. Stan ten trwał aż do chwili, gdy naruszył go Hitler, napadając z kolei na Sowiety w czerwcu 1941.

W czasie okupacji sowieckiej zaczęto deportować obywateli polskich: Polaków, Rusinów (Ukraińców), Białorusinów, a nawet i znaczną ilość Żydów w głąb Rosji. Straszliwy ten proceder nie jest nieznanym ani starej Rosji ani tym bardziej nowej. Z czasów ostatnich — z przed obecnej wojny — wystarczy przypomnieć masowe rugi z ziemi ojczystej kilkuset tysięcy ludności polskiej, dlatego tylko że zły los zrzucił, iż mieszkala ona na terenach Białorusi Sowieckiej. Ludność ta została zesłana w głąb Rosji, gdzie też w większości wymarła.

Te same wydarzenia powtórzyły się na ogromną skalę na okupowanych terenach polskich. Ile deportowano? Według obliczeń, które mają wszelkie podstawy realizmu, ogólna liczba wywiezionych wyniosła około dwóch milionów osób: mężczyzn, kobiet i dzieci.

Za co wywieziono? Wywieziono oficerów i żołnierzy za to, że spełniając swój obowiązek strzelali do nacierającego nieprzyjaciela. Władze sowieckie bowiem nie uważały tych kombatantów za jeńców, gdyż wedle ich tezy Polska istnieć przestała.

Wywieziono chłopów za to, że nie zgodzali się dobrowolnie na zakładanie kolchozów. Zwykle bowiem odbywało się to w sposób następujący. Zwolowano mieszkańców wsi, pytano się ich czy nie chcą dobrowolnie założyć kolchozu. Chłopi gromadnie odmawiali, wtedy zaś im odpowiadano: nie chcesz? nie trzeba! My nie zmuszamy. W kilka dni później wieś otaczano siłą zbrojną, ludność aresztowano, pędzono do wagonów, wywożono.

W ten sposób inne wsie, sąsiednie, już wiedziały co to znaczy odmówić "dobrowolnego" wyrażenia zgody na kolchozy.

Poza tym tysiące i tysiące ludzi aresztowano pod zarzutami indywidualnymi; rzucano im najbardziej fantastyczne przestępstwa, jakieś wystąpienia przeciw ideom bolszewizmu, jakieś rzekomo wypowiedziane krytyki i poglądy przeciwne, a nawet zwyczajny fakt, że ktoś pełnił był służbę w sądownictwie polskim lub administracji ogólnej uważano za przestępstwo *ipso facto* przeciw nowemu reżimowi. Wszystko to było krącawo sprzeczne z elementarnymi zasadami *iuris gentium*. Nie mniej też sprzeczne było z podstawowymi zasadami humanitaryzmu traktowanie tych ludzi, trzymanie ich mie-

ciaciami i potem latami w najstraszliwszych warunkach więziennych. (Tu siedm słów ocenzonego — Red. M.P.)

Znane są i udokumentowane wypadki, kiedy zabierano rodzicom małe dzieci i odsyłano je do jakichś "przytułków" — w głąb Rosji.

Poza tymi deportacjami o charakterze represyjnym — wobec 1) jeńców wojennych, 2) chłopów opierających się kolektywizacji, 3) osób podejrzanym o niechęć do zasad bolszewizmu — wywieziono jednak jeszcze dalsze setki tysięcy ludzi, już bez żadnego określonego powodu. Wywieziono je w chaosie, anarchii i pomieszaniu wszelkich dla rozumu ludzkiego dostępnych motywów. W miastach otaczano pewne ulice — bez żadnego powodu właśnie jakąś jedną ulicę czy grupę ulic — i wywożono mieszkańców bez żadnych już rozróżnień. To samo działo się w najspokojniejszych wioskach, tak polskich jak ukraińskich, tak katolickich jak i prawosławnych. Karawany pociągów z tym ładunkiem ludzkiego nieszczęścia biegły za rosyjskie koło polarne lub na wschód — ku azjatyckiej Rosji.

Dziesiątki tysięcy tych ludzi zaludniało potem sowieckie więzienia. Dalsze, jeszcze liczniejsze rzesze wtrącane były do obozów koncentracyjnych, a jeszcze dalsze gromady — zwłaszcza kobiet i dzieci — były po prostu wytrącane gdzieś po drodze w jakiejś wiosce na krańcu świata. Idź, żyj lub zdychaj! Wszystko nam jedno.

Przyszedł napad Hitlera i przyszedł pakt podpisany z przedstawicielem Sowietów przez Premiera polskiego, przy pełnym sprzeciwie największego polskiego stronnictwa politycznego i kilku innych grup politycznych oraz bardzo szerokiej opinii publicznej. Pakt ten nie mówił nic o obywatelach polskich deportowanych w głąb Rosji, jedynie w protokole dodatkowym do paktu Rząd sowiecki oświadczył, że "udzieli amnestii" obywatelom polskim, którzy są pozbawieni swobody na terytorium Związku Sowieckiego jako "jeńcy wojenni" bądź na innych "odpowiednich" podstawach.

Zastosowanie wyrazu "amnestia" do jeńców wojennych było obrazą żołnierzy chronionych na całym świecie przez prawo narodów. Aby otrzymać amnestię, trzeba najpierw popełnić przestępstwo. Jakiegoż to przestępstwa dopuścili się żołnierze, którzy w mundurach i z bronią w rękę stawiali opór napastnikowi przekraczającemu granice kraju? To samo zaś można powiedzieć i o innych Polakach, aresztowanych przez władze sowieckie na "odpowiedniej" podstawie.

Premier Rządu Polskiego oburzył się był na zarzut, że podpisał traktat, który przez użycie wyrazu "amnestia" przyrównuje służbę żołnierską w obronie ojczyzny do przestępstwa. Powiedział, że to tylko spór o słowa.

Nie był to jednak na pewno spór o słowa, lecz coś o wiele bardziej ważkiego, odpowiedzialnego, straszliwego. Oto w traktacie zaniedbano określenia, *któ jest obywatelem polskim*, traktat bowiem podpisany został nie jako traktat pokoju między dwoma państwami, które toczyły ze sobą wojnę, ale jakby jakaś umowa kolonialna w XVIII wieku — z tak dziwnym zaniedbaniem wszelkich form prawnych.

Rosja obiecała była "amnestię" obywatelom polskim, ale dlaczegoż zaniedbano wyraźnych w traktacie klauzul i postanowień o tym, co

się ma stać z obywatelami polskimi po "amnestii"? Kiedy i jak będą mogli obywatele polscy Rosję opuścić? Komu przysługuje zaszczytny tytuł obywatela polskiego?

Rzecz jasna, że te wszystkie formuły łączą się ze statutem terytorialnym państwa i o to właśnie chodziło przy podpisywaniu paktu. W traktacie kończącym między dwoma sąsiadującymi ze sobą państwami stan wojenny i przywracającym normalne stosunki dyplomatyczne, kwestie terytorialne muszą być wyraźnie określone. One muszą być podstawą dla wszystkiego. Nie jest jednak powiedziane w Pakcie Lipcowym, jakie są granice uznane między obu państwami. Rzecz ta pozostawiona jest wnioskowaniu, a nie tekstowi. Polska w tym pakcie jest wymieniona jakby *jakiś* państwo, z *jakimiś* granicami i *jakimiś* obywatelami.

Do określenia tych obywateli Rząd Sowiecki przystąpił bardzo prędko i całkowicie jednostronnie. Już w dniu 1 grudnia 1941 — w czasie pobytu premiera Sikorskiego w Kujawach — pewne kategorie obywateli polskich zostały przez władze sowieckie uznane za obywateli sowieckich. Rząd Polski zataił jednak ten fakt przed opinią emigracji, kraju, świata. I równocześnie premier Sikorski podpisał swoją "deklarację przyjaźni" ze Stalinem jakby w tym celu, żeby całemu światu było trudniej zgadnąć, jakie jest prawdziwe podłoże odnoszenia się Związku Sowieckiego do Polski.

W styczniu 1943 r. oświadczono nam ze strony sowieckiej, że obywatele polskich nie ma już na obszarze Związku Sowieckiego, gdyż wszyscy w myśl ustaw sowieckich uzyskali obywatelstwo sowieckie a utracili polskie.

Czy tak ma działać podpisany przez premiera Sikorskiego pakt?

Stojąc wyraźnie na stanowisku konieczności pokojowego uregulowania stosunków z Rosją, protestowaliśmy przeciw tak niedostatecznemu traktatowi, protestowaliśmy przeciwko potraktowanej polityce Premiera i Rządu, która w rzeczy samej tolerowała odbieranie bezprawne naszej ludności w Rosji jej dobra największego — charakteru obywateli polskich.

Głuchy wobec tych protestów był rząd gen. Sikorskiego ze swoimi doradcami. Dziś między nami a milionem braci i siostr naszych wywiezionych z Polski do Rosji stanęła żelazna krata, oddzielająca wolność od niewoli. Z za kraty tej dochodzą nas błagalne wołania o pomoc. Zostali tam ludzie, którzy cierpieniem swoim za Polskę nabyli więcej prawa czuć się Polakami, niż wielu obywateli polskich w warunkach wolności i dobrobytu.

Nie odwracamy myśli od nich, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia! My — Polacy na emigracji w Wielkiej Brytanii — współodpowiedzialni jesteśmy za wielką część męczarni i cierpień tych ludzi.

Stwierdzić bowiem należy, iż na oczach całego świata cywilizowanego, na żywej jeszcze cząstce Narodu Polskiego rozsiaanej po bezbrzeżach rosyjskich dokonywane jest bezprawie, któremu dorównywa jedynie bezprawie niemieckie. Czy ma to trwać nadal przy milczącej aprobacie całego świętego zgromadzenia narodów zjednoczonych w walce z bezprawiem? I czy nie jest słusznym raczej wniosek, że świat z wiernymi naszymi Aliantami na czele *prawdy* nie zna i to nie zna z winy polityki prowadzonej przez obecny Rząd Polski!

Al. Dem.

NA MARGINESIE

EUROPA ŚRODKOWA I MY

Sprawa organizacji po wojnie Europy Środkowej, o czym mówi się dużo i od dawna, nie jest bynajmniej jasna. A raczej jest zaciemniona z jednej strony podejrzanym doktrynerstwem, z drugiej nieprzygotowaniem politycznym przygotowanych a licznych dyskutantów. Zarówno pojęcie tego co ma przyszła organizacja obejmować, jak i tego czym ma być i czego my od niej możemy się spodziewać, jest niejasne dla większości ludzi. Spór toczy się o słowa, nie o rzeczy. Toteż najważniejsze wydaje się wydobycie paru punktów istotnych i rzeczywistych.

U podstaw każdego układu sił politycznych, kulturalnych, gospodarczych, militarnych leży zawsze układ demograficzny. Człowiek tworzy bogactwa i organizację, nie odwrotnie.

Pod tym względem Polska jest w położeniu dramatycznym. Stosunek Niemcy — Polacy — Rosjanie przedstawia się jak 3 : 1 : 5. Równowaga mogłaby zapanować, gdyby ten stosunek wyglądał powiedzmy 1 : 1 : 4, gdyż połowa siły niemieckiej byłaby w razie konfliktu zaangażowana na zachodzie, a Azja w niedalekiej przyszłości zaabsorbowałaby co najmniej cztery piąte sił rosyjskich (Chiny zorganizowane samodzielnie czy przez Japonię będą miały cięższy większy znacznie niż jakiegokolwiek państwo europejskie). Czy taki układ jest możliwy? Owszem.

Stosunki demograficzne się zmieniają. Francja Napoleońska miała ludności tyle co ówczesne Niemcy i Anglia razem wzięte, dlatego mogła sięgać po hegemonię w Europie. W pół wieku potem Francja była uspokojona praktycznie, Niemcy przerosły ją znacznie, Anglia również, i układ sił w Europie zmienił się całkowicie. Niemcy wykazywały po tamtej wojnie przez szereg lat stały spadek urodzin. W tych samych latach Polska miała przyrost bardzo wysoki. Gdyby przyrost niemiecki i polski utrzymał się w tej linii przez pół wieku, Niemców byłoby niewiele ponad 50 milionów, Polacy niemal by im dorównywali w ogólnej cyfrze, a przerastali ich w najmłodszych rocznikach.

Czy możliwy jest powrót do takiej linii rozwojowej? Ze strony niemieckiej, w razie wielkiej klęski, napewno tak, ze strony polskiej, w razie warunków dla rozwoju przemysłowego, wierzę, że tak. Dogonienie demograficzne Niemców jest możliwe, wymaga tylko wielkiej świadomej akcji i wymaga czasu, dwóch pokoleń czasu. Od tego pół wieku po wojnie zależy cała nasza przyszłość. Wszystko polega na tym, by mieć pół wieku normalnego względnie rozwoju. To musi być głównym celem polityki polskiej w najbliższej fazie.

W polityce narodów 2 jest więcej od 1 + 1. Każda koalicja jest słaba. Im bardziej doraźna, im bardziej różnorodna, tym słabsza. Konstrukcja oparta tylko na wspólnym zagrożeniu jest niedostateczna, bo ciężar zagadnienia rozkłada się w różnych okresach rozmaicie i konstrukcja wtedy trzeszczy, jak zatrzęszczała Mała Ententa. Trzeba budować z możliwie jednolitego materiału, trzeba znaleźć cement wspólnych podstaw życia społecznego.

Czy taki cement w Europie Środkowej istnieje? Owszem. Jest nim cywilizacja łacińska i katolicka. Jeśli nie obejmuje ona całej przestrzeni tego obszaru, to obejmuje jej zasadniczy i niezbędny trzon: Litwę, Polskę, Czechy, Słowację, Węgry... Blok państw łacińskich w Europie Środkowej byłby napewno silniejszy niż konglomerat rozszerzony o kraje protestanckie jak Łotwa i Estonia czy prawosławne jak Rumunia i Bułgaria. Twierdzenie to może spotkać się z oburzeniem. A jednak "Qui embrasse trop..."

Budujmy przyszłość porządną. Budowla oparta o Gdynię, Wrocław, Pragę, Bratysławę, Budapeszt, Lwów, Wilno, będzie budowlą porządną, logiczną i trwałą. Inne rzeczy mogą narosnąć dokola, ale nie powinny psuć zasadniczej konstrukcji.

Prusy były namiastką Polski, Austria namiastką Węgier. Były to niemieckie "Ersatze" dla zastąpienia zniszczonych a niezbędnych w Europie czynników.

Naszym celem nie może być w żadnym razie odrodzenie lub zachowanie Prus czy Austrii, lecz ich zlikwidowanie ostateczne. Nietylko Berlin jest groźny, ale i Wiedeń, drugie kresowe gniazdo niemieczyny. Trzeba mocnym murem odciąć Berlin od Gdańska i Królewca, a Wiedeń od Bratysławy i Budapesztu, zarówno w sensie fizycznym jak i psychicznym.

Sprawa formy ustrojowej jest zawsze trudna do przewidzenia, bardzo względna i wtórna. Nie zagadnienie federacji, unii dynastycznej, czy szeregu sojuszków jest istotne. Istotne jest zagadnienie współdziałania wojennego. A w dzisiejszych czasach przymierze wojenne rozciąga się nietylko na sztaby, ale na wspólny system przemysłu, komunikacji, handlu i finansów.

Istotne jest, żeby przymierze miało swój punkt ciężkości tam, gdzie jest teren najważniejszy militarnie. Tam musi być skoncentrowany przemysł najbardziej bezpośrednio związany z prowadzeniem wojny, tam musi być największa siła wojskowa i tam punkt ciężkości decyzji.

Polacy są nietylko najcenniejszym i, jak wykazała ta wojna, politycznie i militarnie najwyższym narodem na terenie Europy Środkowej; ich kraj jest terenem militarnie najważniejszym. Polska jest platformą obrotową Europy.

"Rządzić, znaczy przewidywać". Niemcy którzy próbują rządzić siłą, nie przewidywaniem, zawodzą się. Nas nie stać na takie próby. Nie możemy się dać, nie możemy żądać posłuchu od sąsiednich narodów, możemy tylko być im jaknajbardziej użyteczni, potrzebni, włożyć więcej od nich we wspólną sprawę, znać ich stosunki lepiej niż oni znają nasze i, co jest bardzo istotne, dalej i lepiej niż inni przewidywać. (Nie prorokować, ale trzeba przewidywać i... liczyć co najmniej na 50 lat, a potem podjąć dużo więcej).

P. JANECKI

KATYŃSKI LAS

ODKRYCIE przez Niemców masowych grobów w t.zw. Katyńskim Lesie na zachód od Smoleńska może stać się w pewnym sensie jeszcze jednym punktem zwrotnym w tej wojnie. Do pełnego zaznaczenia się tego faktu w umysłach współczesnych potrzebne jest jego należyte udokumentowanie. Nie mniej jednak można już dziś stwierdzić, że dotychczasowe komunikaty sowieckie nie są w stanie rewelacjom niemieckim zaprzeczyć,

ocenzurowane

Więc przede wszystkim władze sowieckie nie potrafią zwrócić tych ludzi, którzy zostali wzięci do niewoli sowieckiej jako jeńcy wojenni, bądź też zostali wtrąceni do więzienia. Ci Polacy w Związku Sowieckim byli, na co Rząd Polski ma dowody, ale tych Polaków w Związku Sowieckim już nie ma. Niemcy twierdzą, że bolszewicy wymordowali ich w owym złowrogim lesie, w kwietniu 1940.

Nie możemy w to uwierzyć, żeby — jak to twierdzi komunikat sowiecki — władze sowieckie wysłały były tych jeńców i więźniów do robót fortyfikacyjnych w rejon Smoleńska czy to przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej czy po jej wybuchu. Oficerowie-jeńcy nie nadają się do robót fortyfikacyjnych w rejonie walk. Gdyby zaś nawet doskonale kierownictwo wojenne sowieckie błąd taki popelińło, to nie mogło liczyć na to, że Niemcy tych jeńców wymordują. Niemcy są mordercami celowymi. Wreszcie gdyby nawet i tak było, to dlaczego Rząd Sowiecki dotąd nigdy nie udzielił odpowiedzi na liczne zapytania urzędowych czynników polskich co do losu zaginionych oficerów? Dlaczego aż teraz przypomniał sobie, że tych jeńców rzekomo zagarnęli Niemcy?

Czekamy więc na wyniki badań przez czynniki postronne i bezstronne: przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Chyba wiedza lekarska i chemiczna stoją dziś na takiej wyżynie, iż można stwierdzić czy zwłoki pomordowanych złożone zostały w ziemi w kwietniu 1940 czy w sierpniu 1941!

Związek Sowiecki stoi dziś na oczach całego świata.

ocenzurowane

Niech nikt nie próbuje żonglować dzisiaj cyframi . . . Jeżeli twierdzenia niemieckie okażą się prawdziwe, to widma pomordowanych w Katyńskim Lesie Polaków nie usprawiedliwią ani na jotę zbrodni niemieckich, ale też i zbrodni niemieckie nie usprawiedliwią tamtej. Wielu jeszcze setek tysięcy naszych rodaków

z Sowieców nie możemy się doliczyć i może moment obecny stanie się i dla nich punktem zwrotnym.

Udokumentowanie sprawy masowego mordu w Lesie Katyńskim pokaże jeszcze raz światu prawdę Polski, prawdę Kraju, który nie zawiódł, który wierny pozostał ideałom, prawdę Kraju i Narodu wielkiego. Niech zbudzi się sumienie świata, niech uświadomią sobie ludzie, dla których wiara w Boga, w prawdę, dobro i piękno, nie są frazesami, że nie można wystawiać na targowisko najświętszych dóbr, za które tak ogromne Naród Polski składa ofiary.

NOTY I UWAGI

EIGHTH ARMY

Nie trzeba czekać na dalsze sukcesy Ósmej Armii Brytyjskiej — które być może są bardzo bliskie — żeby wydać o niej sąd właściwy. Przed paru miesiącami była ona o kilka tysięcy kilometrów na wschód od obecnych swoich stanowisk, dzisiaj dobija się do bram Tunisu.

Uważano do niedawna, że najwybitniejszym dowódcą indywidualnie jest w tej wojnie generał Rommel. Okazuje się, że przewyższył go generał Montgomery. Najlepsze armie niemieckie są przetrzebione. Nie jest dziś przesadą twierdzenie, że najlepszą — w znaczeniu zespołu operacyjnego — armią świata jest dziś Ósma Armia brytyjska generała Montgomery. Jakże ogromny przeskok od r. 1939!

ROZPACZLIWA CHĘĆ POZOSTANIA

Nareszcie trafiliśmy na uzasadnienie dla czego rząd obecny nie ma odejść po jednej z najjaskrawszych kompromitacji znanych w dziejach politycznych świata, jaką jest wynik polityki sowieckiej gen. Sikorskiego. Uzasadnienie to daje daje p. Roman Bukowię w n-rze 5-tym "Zielonego Sztandaru" w słowach następujących:

"Walkę zaś o realizację układu polsko-sowieckiego mogą tylko prowadzić w imię interesów państwa Premier i Rząd, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność podpisania umowy. Tak długo, dopóki wina za jej niewykonanie leży nie po ich stronie, nie tylko mają prawo, ale i obowiązek dzierżenia steru nawy państwowej, zwłaszcza że nie ma najmniejszej nadziei, aby ktoś z gruntu przeciwny temu układowi — choćby się dziś tego wypierał — miał jakiegokolwiek szanse zrobienia czegoś w tej sprawie".

A więc najlepszym sposobem na utrzymanie się przy władzy jest wprowadzić państwo w sytuację politycznie ciężką. "Widzicie, co narobiłem, teraz już muszę rzadzić dopóki się to nie skończy". Dotąd tłumaczono, że rząd musi pozostać, bo jest bardzo dobrze,

teraz okazuje się, że nie może odejść, bo jest aż tak źle. Właśnie tylko ktoś nieobciążony odpowiedzialnością za złe sformułowanie układu może mieć "szanse zrobienia czegoś w tej sprawie". Teza (jeśli tak można nazwać tę wypowiedź) "Zielonego Sztandaru" jest tak nieudolna, że nie wymaga krytyki. Tytuł artykułu brzmi: "Akty rozpaczły w wyścigu o posady".

Za jedno możemy być tylko p. Bukowię wdzięczni, t.j. za stwierdzenie, że "Premier i Rząd wzięli na siebie odpowiedzialność podpisania umowy." Kto wziął odpowiedzialność, będzie odpowiadał.

Jeszcze jedna tylko uwaga natury dydaktycznej. P. Bukowię pisze na początku swego artykułu o "środku dyspozycyjnym spisku antyrządowego". Niech się Bukowię wstydy swojego nieuctwa. W ustroju demokratycznym ci, którzy dążą do zmiany rządu, nie muszą zawiązywać spisku. To się w demokracji nazywa zupełnie inaczej . . . Niech Bukowię przestuduje książeczkę "Ustrój Wielkiej Brytanii" wydaną w ubiegłym roku dla Polaków przez British Council. Tam to stoi wydrukowane po polsku. Ucz się drogie dziecię moje, jak pisała poetka ludu polskiego, choć nie ludowców.

DO PROTOKOŁU R.N.

Jednym z mniej przyjemnych ale koniecznych obowiązków naszego pisma jest przyglądanie co grubszych przeinaczeń rzeczywistości dokonywanych przez "powołanych ale nie wybranych" reprezentantów życia politycznego.

P. Banaczyk, wiceprzewodniczący Rady Narodowej, wygłosił "ekspoze" budżetowe, z którym kilka razy zręcznie w ostatniej chwili zdolał rozminąć się z prawdą.

Po raz pierwszy mówiąc: "W naszym Rządzie Jedności Narodowej reprezentowane są cztery najpoważniejsze stronnictwa skupiające przed wojną przynajmniej w 90-ciu procentach opinii Kraju". Prawda wygląda tak, że w rządzie nie jest reprezentowane

Stronnictwo Narodowe, które w tych "90 procentach" stanowiło . . . 50 procent. Prawda wygląda tak (i o tym p. Banaczyk wie), że usunięci ze Stronnictwa pp. Seyda, Komarnicki i sp. nie mają w Kraju ani w W. Brytanii łącznie nawet . . . 90 choćby najchłodniejszych zwolenników.

Po raz drugi mówiąc: "Obecnie cały Kraj stoi za Rządem". Prawda wygląda tak, że Kraj stoi za Państwem, że uznaje rząd obecny za jedyny rząd Rzeczypospolitej. Tak samo uznajemy go i my, ale żądamy jego ustąpienia, uważamy go za zły. Opinia Kraju stoi za każdym rządem polskim jako rządem, ale nie znaczy to, by uważała rząd obecny za najlepszy, by nie pragnęła jego zmiany.

Po raz trzeci mówiąc (tu już dla szczupłości miejsca cytaty zastąpimy streszczeniem), iż rząd obecny ma trzy cele: odzyskanie niepodległości, wygranie pokoju dla Polski i przygotowanie już obecnie techniczne objęcia władzy po zaborcy w Kraju i zaraz potem mówiąc o deklaracji rządowej z lutego 1942 i wreszcie kończąc wezwaniem do zawieszenia "wszelkich walk i swarów wewnętrzno-politycznych". Prawda wygląda tak, że w deklaracji rządowej są nie tylko "trzy cele" wyżej wymienione, ale i wiele innych, jedno stronnictwo ujętych i wewnętrzno-politycznych na które nie mogą mieć jednakowych poglądów wszystkie stronnictwa i które rządowi nadają jednostronne oblicze polityczne.

PSEUDOPARTYJNY BLOK

Zjednoczenia Narodowego Współpracy z Rządem gen. Sikorskiego

Ponieważ zaś na obronę rządu nie starczy wymowa adwokata Banaczyka więc z pomocą nadbiega w Radzie inny adwokat — Celichowski. Ogłosił on nową formułę: "Uważam jako przedstawiciel — powiedział — ideologii Stronnictwa Narodowego za konieczne podkreślić: *Zjednoczenie Narodowe* jest zbudowane na jednej wspólnej podstawie, na zasadach demokratycznych". Ten kruczek z "przedstawicielem ideologii Stronnictwa" nie zastępuje na opatentowanie, ponieważ nie jest nowy. "Zjednoczenie Narodowe" robił już Koc (Koc, nie Kot), ale w pełni zasadę mianowania przedstawicieli ideologii Stronnictwa realizował słynny BBWR. Byli w nim i "przedstawiciele ideologii PPS", i "przedstawiciele ideologii Związku Ludowo-Narodowego" i Stronnictwa Ludowego i Ch.D. i N.P.R. i ortodoksów żydowskich i "dobrych Ukraińców" i konserwatystów. Więc nawet płaszczyzna była szersza niż w Radzie Narodowej.

"*Dziennik Polski*" mowę p. Celichowskiego opatrzył tytułem: "Kim my właściwie jesteśmy?" Właściwie to w jestecie nową małą sanacją, pseudopartyjnym blokiem zjednoczenia narodowego współpracy z rządem gen. Sikorskiego.

OFENZYWA NONSENSU

P. Lucjan Michalczewski, autor artykułu w "*Nowej Polsce*" (marzec 1943) p.t. "Ofenzywa oszczerstw potężniejsza", podjąwszy się polemiki z artykułami Stanisława Kowalskiego w "*Myśli Polskiej*" krytykującymi działalność polskich kół lewicowych na emigracji — uprościł sobie znakomicie zadanie. Mianowicie zamiast argumentami *ad rem* wolał posłużyć się obelgami *ad hominem*, a nawet *ad homines*, bo za jednym zamachem usiłował rozprawić się z wieloma osobami. W tytule artykułu mówi o "oszczer-

stwach", a w artykule nie przeprowadził żadnego dowodu na oszczerstwa. Prawdopodobnie nie odróżnia pojęcia krytyki od pojęcia oszczerstwa. Biedny człowiek, widocznie nie miał sposobności uzupełnienia swego wykształcenia w zakresie poprawnego używania polszczyzny . . .

W poprzednim N-rze "*Myśli Polskiej*" Stanisław Kowalski napisał od siebie parę uwag o wystąpieniu p. Michalczewskiego, przy czym przytoczył teksty, z których wynika, że p. Michalczewski pofalszował cytaty. Zwalnia to od polemiki z p. Michalczewskim, co jest tym bardziej miłe, iż artykuł jego jest w najwyższym stopniu mętny i napisany nieporządnie. Nie ma trudniejszego tematu, jak polemika z niechlujstwem umyślowym, wynikającym z braku solidnej podbudowy intelektualnej.

Wyłowimy jednak z gęstwiny jego kilku stronicy tekstu parę zarzutów i zanotujemy na ich tle kilka uwag.

1. P. Michalczewski zarzucił Stanisławowi Kowalskiemu używanie pseudonimu, jakkolwiek *wie dobrze*, że Stanisław Kowalski ma uzasadnione powody do używania pseudonimu. Wobec tego stanu rzeczy jednak wypada zapytać, dlaczego p. Michalczewski używa pseudonimu, zwłaszcza skoro nie ma — i mieć nie może — takich powodów, jak Stanisław Kowalski. Z drugiej zaś strony p. Michalczewski szafuje określeniami takimi jak "skorumpowana . . . klika sanacyjna" i t.p. Niech no łaskawie p. Michalczewski sam się wylegitymuje, kiedy i jak walczył w Polsce z sanacją. Nie wielkie to poświęcenie walczyć z sanacją przedwojenną w Londynie w 1943 r. — zwłaszcza kiedy się z nią współpracowało w Polsce.

2. P. Michalczewski oburza się na stwierdzenie, że lewica sprawuje rządy na emigracji i jest za nie odpowiedzialna. Wylicza tedy, kto w rządzie do jakiego kierunku politycznego należy i twierdzi, że lewica jest w mniejszości wobec "prawicy". Nie, p. Michalczewski, *etot nomier nie prajdiot*, (to w języku ostatniego kursu w polityce zagranicznej mocodawców p. Michalczewskiego). Kluczem do sytuacji rządowej jest fakt, że P.P.S. popiera premiera Sikorskiego we wszelkich okolicznościach i wszelkich poczynaniach. W ogniu P.P.S. wlecz się Stronnictwo Ludowe z prezesem Mikołajczykiem na czele. I naodwrot, generał Sikorski popiera demagogię lewicową, nie z ministrami "prawicy", ale z ludźmi, których za wiedzą i zgodą P.P.S. i S.L. podobierał sobie do Gabinetu *ad personam*. W Gabinetcie są tylko socjaliści i ludowcy oraz "*the men of Sikorski*".

3. P. Michalczewski broni p. Mikołajczyka przed zarzutem "lewicowości" słowami: "Ale już ludowiec Mikołajczyk, chłop poznański, farmer, jakby go określono na Zachodzie, mało entuzjastycznie się marksizmem". Obrona ta p. Mikołajczykowski nie pomoże. Na Zachodzie nie rozumieją, dlaczego "farmer" proponuje oddanie "natychmiast obszarów wywłaszczonych pieczy gminnych i powiatowych komitetów reformy rolnej" ("Projekt ustroju Państwa Polskiego" wniesiony przez P.P.S. i S.L. na Radę Narodową i ogłoszony w "*Robotniku Polskim*" z 15 grudnia 1942). "Na Zachodzie" myślą dotąd, że takie "gminne i powiatowe komitety reformy rolnej" to *rewkomy*.

4. Trick że "skrajną prawicą" i "obozem skrajnie nacjonalistycznym" także nie przejdzie. Obóz narodowy jest dziś taką siłą w narodzie polskim, że przy pierwszym zmierzaniu wpływów wewnątrz naszego społeczeństwa sztuczki skończą się bezpowrotnie.

5. Pisze p. Michalczewski, człowiek b. zbliżony do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: ". . . jeszcze tylko brakuje sporządzenia list proskrypcyjnych i prośba do Anglików, ażeby na Wyspę Mann wysłano pisarzy i działaczy tej lewicy. . . Z tej aluzji p. Michalczewski będzie się tłumaczył w Polsce po wojnie. I nie tylko p. Michalczewski.

6. Pisze też pan M. o wydawaniu najtajniejszych aktów państwowych p. Mackiewiczowi, "Walce", "*a któż zaręczy czy i nie dalej jeszcze?*" Otóż za narodowców ręczyć nie trzeba, a za kogo innego to już *Mikięciński* zaręczy, drogi p. Michalczewski, *Mikięciński*.

7. "Wydawnictwa nielegalne". Nie trzeba dusić wydawnictw legalnych, to nie będzie nielegalnych.

8. Żydzi. "*Myśl Polska*" odnosi się do Żydów jako do odrębnego narodu, mającego takie samo prawo do życia i rozwoju, jak i inne narody. W wypadku konfliktu interesów polskich i żydowskich "*Myśl Polska*" staje po stronie interesów polskich. To według p. Michalczewskiego stanowi zbrodnię antysemityzmu. P. Michalczewski bowiem nie uznaje, że możliwość konfliktu może się zdarzyć i zawsze już z góry i *a priori* staje po stronie Żydów. Można i tak, ale my temu stanowisku odmawiamy i patriotyzmu i obiektywizmu.

9. P. Michalczewski skarży się, że pisma i wydawnictwa ludowców nie docierają do wojska, że publicyści lewicowi robią wiele dla sprawy polskiej w środowisku angielskim (Polska Informacja Społeczna p. Szapiry, Pen Klub p. Stonimskiego), a natomiast "produkcja skrajnej prawicy jest i była przeznaczona na rynek wewnętrzny, na pogłębienie konfliktów na emigracji . . ." Skarży się p. Michalczewski, że p. Rojek "odważył się dopiero po 3 latach na zabranie głosu w prasie angielskiej" i wreszcie kończy stwierdzeniem, że winowajcami za stan sprawy polskiej są nie ci, którzy rządzą, ale ci, którzy od wpływu na politykę oficjalną odsunęci zostali — w tym wypadku Stanisław Kowalski, z którym p. Michalczewski przeprowadza główną polemikę.

Na wszystkie te zarzuty odpowiemy tu paru pouczeniami dla p. Michalczewskiego i paru informacjami.

Może p. Michalczewski tego nie wie, ale na całym świecie przyjęte jest, że za politykę odpowiada rząd. Ani opozycja ani poszczególne prywatne osoby nie odpowiadają za wyniki prac rządu. Ponieważ zaś p. Michalczewski zdaje się tego nie rozumieć, więc parę przykładów.

Jak może np. iść do prasy angielskiej p. Rojek czy ktokolwiek inny i domagać się sprawiedliwości dla naszych wygnańców w Rosji, skoro pp. Sikorski, Stroński, Mikołajczyk, Kwapiński i inni twierdzili *ex cathedra*, że wszystko jest porządku?

Jak mógł p. Rojek informować prasę angielską o tym, że Lwów i Wilno to miasta polskie, skoro p. Stroński zabraniał pisać przez czas pewien prasie polskiej o zagadnieniu wschodnich granic Polski i nawet interweniował u władz angielskich, by konfiskowały "*Myśl Polską*"?

Nie jest normalnie zadaniem opozycji wyręczać rząd w jego funkcjach. Takim zadaniem jest natomiast podpejzanie rządu i kontrolowanie go. Niestety, ale takie są prawa demokracji. Niech tylko p. Michalczewski wyteży nieco swój umysł, a na pewno zrozumie . . .

W tym punkcie jednak przejdziemy od rozważań o rządzie i opozycji do kilku informacji o wydawnictwach p. Michalczewskiego.

Wydawnictwa ludowców nie docierają do wojska? A co p. Michalczewski powie na okólnik M. S. Wojsk L. dz. 3889/Pr. II/42 z 14 października 1942 o stałym przekazywaniu do świetlic oddziałów lądowych w W. Brytanii — na koszt Ministerstwa Informacji — po 135 egzemplarzy następujących pism: *Robotnik Polski*, *Zielony Sztandar*, *Nowa Polska*, *Jutro Polski* i *Biuletyn Klubu Narodowego*?

A czy p. Michalczewski wie, że te same wydawnictwa zakupywane są z budżetu państwowego przez Ministerstwo Informacji w ilości po 387 egzemplarzy i że część tylko odnajduje się w wymienionym wyżej okólniku, a reszta idzie na Wschód? Ileż to kosztuje? Przy *"Nowej Polsce"* £55 miesięcznie! Rocznie dla wszystkich wymienionych pism koszt ten wynosi w budżecie £2100. A *"Nowa Polska"* otrzymuje ponadto £2400 rocznej subwencji z etatu Funduszu Kultury Narodowej!

Co robi *"Nowa Polska"* za te pieniądze dla propagandy sprawy polskiej? Zamieszcza artykuły p. Michalczewskiego!

Pan M. pisze o wydawnictwie *Polska Informacja Społeczna*, na czele którego stoi p. Szapiro. W ostatnim budżecie państwowym subwencja na cele tego wydawnictwa wynosi £6.000 rocznie. Co dotąd wydała P.I.S. za te pieniądze? Mam przed sobą komplet tych wydawnictw: sześć broszurek socjalistycznych w języku angielskim formatu mniejszego o połowę od *"Myśli Polskiej"* i niespełna sto stron druku.

Nie wiele więc treści za te pieniądze się drukuje, ale za to jaka to treść! W ostatniej zwłaszcza broszurce — omawianej już w *"Myśli Polskiej"* — opublikowano program rozprawy o *orzędnej* polskiej "koncentracji demokratycznej" z "elementami reakcyjnymi wewnątrz narodu". Oto co robi polska lewica bynajmniej nie za swoje pieniądze, ale za pieniądze polskiego ogółu. To jest ich lojalność wobec innych kierunków politycznych polskich i wobec Sprawy Polskiej!

Narodowcy nie narzekają na zasadę, że zasoby państwowe są w rękach grup przeciwnych, tworzących obecnie rząd. Ale niechże te grupy nie traktują resztek majątku narodowego Polski jak swojej partyjnej domeny, a wreszcie niech nie usiłują tak niepoważnie i wręcz śmiesznie przerzucać odpowiedzialność na innych za to, czego same nie umieją i nie potrafią zrobić.

Sam fakt takiego postawienia zagadnienia przez p. Michalczewskiego dowodzi pipidowskiego poziomu politycznego jego środowiska politycznego, całkowicie niewspółmiernego z czasami i zadaniami.

SPRAWA DOBOSZYŃSKIEGO

Już w czasie opracowywania niniejszego numeru *"Myśli"* nadeszła wiadomość tak nieprawdopodobna, że podajemy ją tylko ze względu na autentyczność źródła.

Oto w drugim tygodniu kwietnia do władz sądowych wojskowych, prowadzących sprawę przeciwko Doboszyńskiemu, natury raczej dyscyplinarnej — o ogłoszenie listu otwartego w sprawie politycznej bez względu na postanowienia regulaminów wojskowych — przyszło pismo od naczelnych władz wojskowych anulujące weryfikację Doboszyńskiego jako podporucznika a w związku z tym także awans na porucznika dokonany już w W. Brytanii. Powodem unieważnienia weryfikacji jest . . . sprawa myślenicka.

Jak sobie czytelnicy niewątpliwie przypominają, krakowski sąd przysięgłych uniewinnił Doboszyńskiego jednogłośnie, a po przeniesieniu sprawy przez sanacyjny rząd do Lwowa lwowska ława odpowiedziała na wszystkie pytania trybunału uniewinniająco i tylko na jedno pytanie twierdząco, większością jednego głosu i pod nieprawnym naciskiem stronnictwa przewodniczącego trybunału. Pod wpływem tej sprawy rząd sanacyjny zniósł instytucję sądów przysięgłych. W każdym razie nawet stronnictwo trybunału wyraźnie oświadczył w wyroku, że nie odbiera Doboszyńskiemu praw obywatelskich, i żadna władza w Polsce nie wystąpiła z wnioskiem usunięcia Doboszyńskiego z wojska. Kampanię odbył w Polsce inż. Doboszyński w swoim pułku macierzystym, gdzie sprawę dobrze znano, w stopniu podporucznika, był ranny, odznaczony został w tej wojnie trzykrotnym Krzyżem Walecznych i Croix de Guerre (tu się prostuje nieścisłe twierdzenie w liście do "M.P." p. M. Harusewicz, że został tylko przedstawiony do francuskiego odznaczenia), awansowany.

Mamy nadzieję, że mimo wszystko, wiadomość o pozbawieniu go stopnia oficerskiego jest jakimś niebawym nieporozumieniem, a nie faktem.

PRZECIW PLK. MATUSZEWSKIEMU

W październiku ub. roku zamieściliśmy komunikat Ambasady R.P. w Waszyngtonie o wszczęciu śledztwa przeciw plk. Matuszewskiemu w Nowym Yorku w celu "wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności jego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych". Równocześnie zamieściliśmy oświadczenie plk. Matuszewskiego z powołaniem się na właściwe rozkazy udzielające mu bezterminowego i bezpłatnego urlopu z wojska i wyjaśnieniem wszelkich innych okoliczności jego wyjazdu i działalności w Stanach Zjednoczonych. Obecnie dowiadujemy się, że śledztwo zostało już umorzono, że jednakże ambasada nie wydała równocześnie w tej sprawie komunikatu. Plk. Matuszewski wystąpił w tej sprawie z listem otwartym do Ambasadora Cichanowskiego, ogłoszonym w dniu 1 lutego 1943. Oto wyjątek z tego listu:

"Jak bowiem Panu Ambasadorowi niewątpliwie wiadomo, dnia 31go grudnia roku zeszłego ta sama Ambasada wystosowała do mnie pismo, podpisane przez Attache Wojskowego, o następującym brzmieniu:

"*W ślad za pismem moim z dnia 25.III.42 r., i w myśl rozkazu Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, zawiadaniem Pana Pułkownika, iż wdrożone przeciw Niemu dochodzenie sądowe w Sądzie Wojskowym w Londynie zostało umorzono*".

Skoro Ambasada wydała komunikat o wszczęciu przeciw mnie śledztwa sądowego oświadczając, że czyni to "wobec licznych zapytań otrzymywanych przez Ambasadę w sprawie stosunku wojskowego plk. Ignacego Matuszewskiego" — to podanie wiadomości o umorzeniu dochodzenia wydawałoby się rzeczą naturalną już nie tylko dla zaspokojenia "licznych" ciekawych, lecz poprostu dla zadośćuczynienia zwykłym zasadom etyki.

Wystąpienie komunistycznego *"Głosu Ludowego"* w Detroit, ponawiające fałszywy zarzut dezercji w stosunku do mnie i powołujące zeszłoroczny komunikat Ambasady — miało miejsce 16 stycznia roku bieżącego, a więc w dwa tygodnie zgórą po przytoczonym wyżej liście Attache Wojskowego.

Mimo, że od tej pory upłynęły dalsze dwa tygodnie — Ambasada nie odebrała agentom Kominternu ich zatrutej broni oszczerstwa".

REALIZM p. LITAUERA

Nie bez znaczenia dla scharakteryzowania polskich stosunków politycznych jest fakt, że nie dawno w Londynie w jednym z najważniejszych związków dziennikarskich międzynarodowych przedstawiciel polski poświęcił bardzo wiele wysiłków, żeby na stanowisko przewodniczącego wprowadzić przedstawiciela sowieckiego.

Mianowicie istnieje w Londynie bardzo szacowny Związek Korespondentów Prasy Zagranicznej (po angielsku: *Foreign Press Association*), do którego należą wyłącznie dziennikarze zagraniczni, akredytowani w Londynie. W ub. roku przewodniczącym był Szwajcar, p. Gottfried Keller, dziennikarz cieszący się dużym uznaniem wszystkich, którzy stykali się z nim w jego pracy i działalności. W obecnej sytuacji politycznej zajmowanie takiego stanowiska przez Szwajcara tym bardziej podkreślało trzymanie Związku zdala od wszelkich konfliktów politycznych międzynarodowych.

Zanosiło się więc w Związku, że kandydatura p. Kellera będzie najbardziej do przyjęcia dla wszystkich członków, zwłaszcza wobec konfliktów politycznych między członkami naszej koalicji wojennej. Jednakże członek tego Związku i b. prezes p. Stefan Litauer (kierownik *Polskiej Agencji Telegraficznej*) sądził inaczej. Zorganizował więc całą akcję dla wyboru na to stanowisko kierownika londyńskiego oddziału agencji sowieckiej TASS p. A. Rothsteina. Prezesa w *Foreign Press Association* wybiera nie walne zebranie, ale zarząd. Ponieważ p. Litauer nie został wybrany do zarządu na zebraniu w marcu, więc przeprowadził całą kampanię o nowe walne zebranie i o swój wybór, a następnie — w zarządzie — postawił wniosek o wybranie prezesem p. Rothsteina, co też dokonane zostało w dniu 7 kwietnia 1943.

Wiadomo powszechnie, że Związek Sowiecki wystąpił z roszczeniami terytorialnymi pod adresem Polski i kilku innych krajów europejskich. Wiadomo również w całej Europie i w całym świecie, że Związek Sowiecki więzi w tej chwili setki tysięcy obywateli polskich. Jak prasa europejska i innych kontynentów odczuje poprzez swoich korespondentów w Londynie stanowisko tutejszych kół polskich wobec roszczeń sowieckich? Co powiedzą Szwedzi, Turcy, Szwajcarzy w Europie? Jak to zrozumiały prasowe koła angielskie w Londynie? P. Litauer jest przecież wysokim urzędnikiem polskim! Powiadają nawet, że jego wpływy realne przewyższają jego pozycję oficjalną w środowisku polskim. Jakże tedy wygląda poparcie przedstawiciela TASSA na gruncie londyńskim przez delegata polskiego? Tego samego TASSA, którego komunikatu — jako formy oficjalnej — użył rząd sowiecki do promulgowania w świecie swego programu zaboru połowy Polski?!

Tym razem realizm polityczny p. Litauera przybrał formy naprawdę prowokacyjne. P. Litauer jest delegatem urzędowym polskim do wielu ośrodków zagranicznych. Jeżeli wszędzie okazuje także zrozumienie i taki sam takt i dyskrecję w obronie interesów polskich, to czas najwyższy poddać te jego delegatury rewizji.

Ostatecznie bowiem każdy obiektywny obserwator zgodzi się, że ostatnie posunięcie p. Litauera służy wybornie sowieckim celom politycznym, ale nie służy polskim.

JERZY PIETRKIEWICZ

POKUSY MISTYCZNE

I

Słowa są bez poręczy.
Czy wychylić się za nie — nad mrok,
gdzie osie planet ciężko skrzypią
i wieczność się wśród czasu męczy.

To tylko jeden przecież krok —
nad brzegiem mowy stanąć w wierszu.
Rytm się obsuwa wdół.
Rym ma otwarte jeszcze usta —
lecz niemy.

II

Tam jest molo poetyckie wgląd trwogi.
Tutaj przystań dla wizji wśród mgły.

Wiatr mi włosy czesze grzebieniem coraz
twardszym i szerszym.
To wirującej ziemi wiew. Na skraju kosmicz-
nego wiatru stoję.

Zsuwa się z czoła niebo jak ogromna chusta.
Rozwiązały się supty obłoków — upadły pod
nogi.
Już tylko ciemność zawieszona, gdzie czas ledwo
że się tli
w niedopalonych resztkach meteorów.

III

Myśl bez słów mniej boli.
Myśl bez uczuć mniej więzi.

Czy wychylić się poza poemat — poza kruche
wiązania wieczoru —
w myśli co rzędną jak powietrze —
kilka tysięcy kilometrów ponad poziomem słów —
w bezosobowe cierpienie. Czy przejść więc
z jednej niewoli
w nową —
z jednego czasu
w drugi?

Ciemność — ciemność mistyczna rzezi
na strunach przecigniętych przez istnienie,
rozpiętych od słońca do słońca —
gdzie głuchnie i niemieje słowo,
gdzie każda farba ślepnie.
Tylko nagie, olbrzymie stalugi
dla bezkształtnych, nie nazwanych wizji.

Noc za nocą — żadna z nich nie krępnie.
Czas za czasem — żaden z nich nie kona.

Wdole ten sam Bóg przybity do setek tysięcy
krzyży.
Wdole Barabasze na tronach.

IV

Już 26 razy obiegłem słońce dookoła
ludzka cma urzeczona przez światło.
Wiatry mi oplatają czoło.
Na skraju poematu stoję.

Bo słowo jest bez poręczy,
a myśl bez słów mniej męczy —
życia więcej niż śmierci się boje.

V

26 razy skrzydlate roztaczałem nad globem
cienie
i zziąjany bieglem za czasem trop w trop.

Mówicie, że to była młodość,
cwałujące ponad głową sny.

A mnie odblaski gwiazd były po twarzy,
gdym do mety każdego roku dobiegał, wargi
pieniąc krzykiem,
a zachodzące codziennie słońce jak złoty walilo
się snop,
księżyc potem pod stopy zamazane rzucił kłody,
aż świt je musiał łamać i srebrne zostawiał kry
dla niespokojnych marzeń.

VI

Mistyczny piśnię życiorys
każdym wschodem i zachodem słońca,
każdym sopłem księżycowych mrozów.

Słowa przedemną leżą, zarośnięte tęsknotą, jak
dzikie, przestronne ugory,
korzeniami wczepiły się w ziemię,
setkami żyłastych powrozów.

Ja ponad nimi
w szumie wirującego globu
na skraju wiatru, co chmurami dymi —
biegnę wokół światła — 26 już raz —
w poszukiwaniu grobu.

O PRZYSZŁOŚĆ I ROLĘ UNIwersYTETU

W pierwszej połowie kwietnia, staraniem Międzypolnokiego Stowarzyszenia Profesorów, odbyła się całodniowa konferencja poświęcona powojennym sprawom uniwersyteckim. Zjazd, obelany licznie przez dziećmię narodów alianckich, był imprezą udaną. Obrady poświęcono wymianie poglądów w 10-minutowych referacjkach, z konieczności zwartych i skoncentrowanych. Uwagę zwracał referat norweski profesora Sommerfelta, poświęcony konieczności przyjsia z pomocą młodzieży uniwersyteckiej w wyniszczonej Europie celem stworzenia jej możliwej atmosfery do studiów i to przyspieszonych studiów, a też konieczności blijszego zajęcia się sprawą naukowego zbadania socjologicznych podstaw społeczeństwa ludzkiego. Referat grecki profesora Photiadesa podkreślał — rzecz znamienita — potrzebę uzbrojenia techników w pewien zapas wiedzy humanistycznej, bez którego są oni upośledzeni — *handicapowani* — w swej pracy z natury rzeczy społecznej. Ze strony polskiej prof. Kot odczytał postanie, przesłane w przeddzień śmierci z obozu koncentracyjnego przez jednego z polskich profesorów, w którym to piśmie przekazywał on kolegom swą troskę o przyszłość polskich wszechnic.

Na czoło zagadnień, organicznie i własną siłą ciężenia, wysunęła się sprawa stosunku czystej wiedzy do potrzeb powojennego życia. Czy uniwersytet ma się zajmować badaniem naukowym, czy też urabianiem życia społecznego? Czy młodzież przez parę lat swych studiów ma się oddawać czystej wiedzy, czy też głównie przygotowywaniu do swych funkcji społecznych? Spór stary i zawikłany, tak zawikłany, że niemożliwy do całkowitego, łatwego rozwikłania.

Wymiana poglądów na te tematy była pełna. Wolania o rolę społeczną uniwersytetu, o jego wyjście z osobnienia i z szczytów czystej nauki ku nizinom ale i szerokim perspektywom życia narodowego, były głośne i natarczywe. Co raz szersze rzesze młodzieży opuszczają szkołę średnią kierując się ku uniwersytetom — był to punkt widzenia angielski — niesposób jest więc zajmować się jedynie paru wybrańcami czystej nauki, trzeba urabiać resztę, i poprzez tę resztę kształtować życie społeczeństw narodowych. W przeciwnym razie uniwersytety stracą swój wpływ na życie, zaś to życie, pozbawione dawnych tradycji uniwersyteckiej pracy, pójdzie na manowce. Ba, nawet rzucono ze strony niepodważanej (prof. Kot) wezwanie o nawiązanie do wzorów jedności kulturalnej,

istniejącej w średniowieczu i jeszcze za renesansu, a zerwanej z okresem rewolucyjnym XVIII wieku!

Wolania te były tak głośne i tak powszechne, że aż z kolei odezwały się ważkie głosy (angielskie!) zwracające uwagę na niemożność zapomnienia o roli naukowej uniwersytetu. Wszak uniwersytet, który by nie miał czasu — u starych i młodych — na zajmowanie się się pracą naukową, przestałby być uniwersytetem . . .

Rozwiązania trzeba, zdaje się, szukać — i to są nasze sugestie — oczywiście w dwu kierunkach. Po pierwsze szkoły wyższe powinny być zróżniczkowane, silniej jeszcze niż w przeszłości, na teoretyczne i praktyczne, na *lettres, sciences*, oraz najróżniejszego typu wyższe — i najwyższe — studia fachowe: szkoły techniczne czy politechniczne, fakultety praktyczne rolnicze, lekarskie i administracyjne (*Ecole de medecine* czy *Ecole de droit*) według francuskiej terminologii). W ten sposób byłoby miejsce dla szerokich fal młodzieży bez wbijania ich w ramy teoretycznego badania naukowego, przeznaczanego z konieczności tylko dla powołanych.

Po wtóre, profesorowie winni — po dawnemu ale silniej jeszcze — współżyć z młodzieżą w jej życiu społecznym, korporatywnym i stowarzyszeniowym, gdzie się przyszyli obywatel właśnie winien do życia obywatelskiego sposobieć. Boć nie wykładaniem się do tego celu dojdzie. Owszem, penetracja wykładu naukowego przez zagadnienie obywatelskoetyczne doprowadziłaby jedynie do całkowitego pomieszenia pojęć: wykłady by obniżono i zepsuto, zaś cel praktyczny zawieszono by znowu w teorii i frazesie.

Uniwersytet należy do życia narodowego zbliżyć, ale nie wolno go zabijać zapominając o celu jego głównym: słuzeniu Nauce. Historia Europy nie znalazła dotąd lepszego sposobu na wytwarzanie nowego życia, jak właśnie tradycyjnie, organicznie, współżycie profesorów z młodymi. Obie strony mają tu coś do nauczenia się, i z tej właśnie zobopólnej pracy wytwarza się przyszłość dla narodowej społeczności.

Stąd owa konieczność autonomii uniwersyteckiej, tak dla europejskiej cywilizacji znamiennie: nigdy nauka i uniwersytety nie mogą stać się najemnikami państwa! Hasło to było gromkie w czasie obrad londyńskich i nie pozostawiało żadnej niejasności co do swej treści.

Dobrze bardzo, że wśród politycznej atmosfery roku 1943 znalazło się, w czasie trwania wojny i u progu zwycięstwa, miejsce i dla polityki uniwersyteckiej.

KSIAŻKA

WOJSKU POLSKIEMU . . . J.J.

WOJSKU POLSKIEMU, które od 1 września 1939 roku nieprzerwanie na wszystkich frontach świata walczy o wolność naszą i cudzą."

Taki jest tytuł książki wydanej w roku 1941 we Francji. Książka zawiera szereg źródłowych opracowań. Mamy tam studium kampanii wrześniowej w Polsce, tym ciekawsze, że autor, pułkownik dypl. J.J. piastował wysokie stanowisko operacyjne w naszym Naczelnym Dowództwie. Mamy szereg opracowań, dla których materiały były dostępne przede wszystkim we Francji, a więc studium kampanii francuskiej 1940 roku, mamy wreszcie bardzo cenne opracowania działań bojowych naszych wielkich jednostek we Francji, a więc, 1-szej Dywizji Piechoty aż do jej rozwiązania, 2-giej Dywizji Piech. aż do przejścia granicy szwajcarskiej, Brygady Kawalerii Pancernej aż do jej rozwiązania, Brygady Podhalańskiej (z Narwiku) aż do jej rozwiązania w Bretanii, wreszcie 3-iej Dywizji Piechoty.

Jednostce tej, dowodzonej przez pułkownika Zieleniewskiego, która prawie nieuzbrojona i niewyszkolona, liczyła tylko parę tygodni istnienia, płk. dypl. J.J. poświęca artykuł pod tytułem "Ostatnie dni trzeciej dywizji piechoty". Artykuł ten jest tak charakterystyczny dla warunków, w jakich organizowało się nasze wojsko we Francji i dla postawy Francuzów, żądających od nas poświęceń w ostatnich chwilach walki, a robiących nam następnie trudności, gdy bitwa o Francję została przegrana, — że przytoczymy jej końcowe ustępy.

"PRÓBY OBRONY BRETANII

Dn. 12 i 13 czerwca ciągnie przez Guer na wschód długi sznur zmotoryzowanej angielskiej artylerii i samochodów półciężarowych, wypełnionych Kanadyjczykami. Miny ich doskonałe. Wylądowani zostali w Brest i jadą na front. Wiara wstępuje w żołnierzy 3. Dyw. Piech., że Bretania będzie broniona.

Dn. 14 czerwca, ten sam długi sznur odbywa drogę powrotną. Kanadyjczycy zmęczeni i jacyś onieśmieni, twierdzą że odwołali amunicję; wracają po nowy zapas. Lecz pod wieczór i przez całą, noc 14/15 ciągnie również artyleria. Nikt już nie wątpi, że to odwrót angielski. Potwierdzenie przychodzi przed południem dn. 15 czerwca z Brest i St. Malo. Kanadyjczycy ładują się na okręty i odpływają do Anglii.

W międzyczasie, dca 3. Dyw. Piech. łącznie z Komendantem obozu Coetquidan, gen. Korytowskim, interweniuje u władz francuskich, żądając zwinięcia garnizonu obozu i odesłania go łącznie z 3. Dywizją na południe od Loire'y. Motywują niemożnością wzięcia udziału w walce, z powodu braku broni, umundurowania i z powodu rekruckiego charakteru wojska. Otrzymują decyzję: "Votre sort est lié a celui de la Bretagne".

Dn. 15 czerwca dca 3. Dywizji wezwany jest do Rennes, do dcy 10. Armii franc. gen. Altmayera, dowodzącego obroną Bretanii. Otrzymuje od niego następującą decyzję:

Bretania tworzy niezależne centrum oporu. Jej front obronny przebiegać będzie po następującej linii: na północy opiera się o Mont-St. Michel, w centrum tworzy przedmoście Rennes, na południe biegnie

wzdłuż rzeki Vilaine, aby dotrzeć do morza przy ujściu rz. Vilaine, w rejonie La Roche-Bernard.

Obsada frontu przez Wojsko Polskie: Brygada Podhalańska (przybyła z Anglii i wylądowana w Brest w dniu 14 czerwca) obejmie odcinek na południe Mont. St. St. Michel. Pułk Szkolny z Coetquidan (sformowany ze szkół: podchorążych i podoficerskiej) broni odcinka na południe od Rennes, w rejonie Janzé-Sel. 3. Dyw. Piech. obejmuje obronę rz. Vilaine.

Na przedstawienie Dcy Dywizji, iż 3. Dywizja nie jest zdolna do akcji bojowej, gen. Altmayer zmienił decyzję, pozostawiając dywizję w rejonie Guer-Coetquidan jako odwód roboczy, żądając przyspieszenia szkolenia.

Nakazane odcinki obsadziły: Brygada Podhalańska i z baony Szkoły Podchorążych i Podoficerskiej z Coetquidan. Późniejsze wypadki wykazały, że obrona Bretanii była fikcją. Wojsk francuskich w Bretanii nie było wogóle, gdyż Rennes zostało zajęte dn. 18 czerwca bez żadnego oporu.

ODMARSZ 3. DYWIZJI PIECHOTY Z REJONU GUER-COETQUIDAN

Dn. 18 czerwca, we wczesnych godzinach rannych, Rennes zostaje zbombardowane, poczem zajęte bez wystrzału. Pancernozmotoryzowana wielka jednostka niemiecka posuwa się dalej na zachód, na Brest.

Gen. francuski Faury (znajdujący się w tym czasie w Coetquidan) daje rozkaz odmarszu 3. Dyw. Piech. i ewakuacji Coetquidan. Kierunek i pierwszy cel marszu: Nantes, dla przekroczenia Loire'y.

Otwierają się magazyny francuskie. Dywizja zostaje w ciągu kilku godzin umundurowana (prócz tornistrów i plecaków), lecz nieuzbrojona. To pośpieszne umundurowanie, zwłaszcza niedopasowane obuwie, odbije się na marszu. Ponadto brak środków lokomocji pozbawi oficerów bagażu osobistego, brak zaś broni ułatwi żołnierzowi niesienie walizek i kuferków rekruckich.

O godz. 14 następuje odmarsz dywizji. Rejon pierwszego osiągnięcia Redon, odległy o przeszło 40 kilometrów. Licząc się z ewentualnością bombardowania, dywizja ruszyła w trzech niezależnych kolumnach, . . .

Mimo odległości (dla niektórych oddziałów do 45 klm.), dywizja odbyła swój pierwszy marsz bojowy w dobrej formie, osiągając wyznaczony rejon dn. 19 czerwca we wczesnych godzinach rannych.

ROZWIĄZANIE 3. DYWIZJI PIECHOTY

Dzień 19 czerwca przeznaczony był na odpoczynek. Rozpoczęcie dalszego marszu przewidziane było wieczorem tego dnia. Jednak w południe przybywa do m.p. dywizji (Bas Tesdan) gen. Faury i zawiadamia, że Nantes zajęte zostało przed południem przez zmotoryzowane wojska niemieckie. W ten sposób jedyne mosty na Loirze zostały przecięte.

Dca dywizji decyduje marsz na St. Nazaire, gdzie według meldunków rozpoznania funk-

cjonuje przy ujściu Loire'y prom parowy. Oddaje do dyspozycji oddziałów całą kolumnę żywnościową, improwizuje drugą kolumnę z porzuconych przez Anglików samochodów, uruchamia transport kolejowy ze stacji Severac i przesuwa do St. Nazaire w pierwszej kolejności baony uzbrojone i szkoły podoficerską. Sam udaje się do St. Nazaire dla przygotowania przeprawy. Na skrzyżowaniu szos w Bonne Miette pozostawia dce Piechoty Dywizyjnej, który kieruje ruchem dywizji. Do niego przybywa w późnych godzinach popołudniowych oficer, przedstawiciel Sztabu franc. z wiadomością, że St. Nazaire jest zajęte przez Niemców. Oficerskie rozpoznanie motocyklowe wysłane natychmiast do St. Nazaire stwierdza, że miasto jest wolne, wiadomość polega widocznie na nieporozumieniu. Lecz załadowany już transport na stacji kolejowej Severac zostaje wstrzymany. Władze kolejowe nie otrzymały pozwolenia na jego uruchomienie.

Około godz. 20-iej wraca Dca Dywizji. St. Nazaire jest wolne. Lecz prom został zniszczony. Niema żadnych środków transportowych, które zdolne byłyby przeprowadzić dywizję na drugi brzeg ujścia Loire'y. Władze francuskie żądają wstrzymania marszu wojsk.

3. Dywizja Piechoty znalazła się odcięta na prawym brzegu Loire'y i straciła, jako całość wszelką możność przeprawy na brzeg lewy.

Późnym wieczorem na skrzyżowaniu szos Bonne Miette odbyła się ostatnia odprawa dowódcy dywizji z jego sztabem i dowódcami podkomendnych oddziałów.

Rozkaz jego brzmiał:

3. Dywizja Piechoty zostaje rozwiązana. Żołnierze pochodzący z emigracji są wolni, mogą wracać do domów. Kadre i żołnierzy z Polski obowiązuje rozkaz przekradania się pojedynczo lub małymi grupkami, bądź na południe przez Loire'ę, bądź na zachód do portów. I jednym i drugim ma przyswieszczać jeden cel: nie pozwolić się dać wziąć Niemcom i starać się dotrzeć do Anglii dla prowadzenia dalszej wojny.

W nocy z 19 na 20 czerwca 3. Dywizja Piechoty przestała istnieć. Nie dane jej było szczęście pomszczenia krzywd wrześniowych.

Płk.dypl.J.J."

NAŚLADOWANIE

Ojciec Jacek Woroniecki O.P. miał rację twierdząc (za którymś z naszych filozofów narodowych), że "Polacy są tęskliwi w czytaniu". Tak, bo tęsknią za czymś "naprawdę dobrym", a gdy się to już ukaże, to może nawet czasem przez snobizm kupią, ale często gęsto nawet nie przeczytają porządnie. Prawda, że nasza biblioteczka emigracyjna nie jest tak obfita, jak za dobrych czasów, prawda, że na ogół czytelnictwo jest większe, ale może za wiele czasu poświęcamy sprawom stosunkowo blahym, które nieraz więcej zlego niż dobrego przynoszą, a za mało zwracamy uwagi na sprawy zasadnicze, pryncypialne.

Ukazanie się polskiego wydania na gruncie emigracyjnym "O naśladowaniu Chrystusa" Tomasa a Kempisa (Str. 338, nakładem Mildnera, Herbal Hill, Londyn, E.C.I. cena szyl. 7/- i 10/-), minęła bez echa. Warto więc może przypomnieć, że już 500 lat temu (1441) została oddana do ogólnego użytku (przedtem krążyła w odpisach) maleńka książeczka, której treścią jest sztuka naśladowania naszego najdoskonalszego ideału,

